W numerze powtarzamy **KONKURS** na temat: „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś"

Cena 7 zł.

# WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 24 lutego 1946 r. | Nr. 7 (35)

TADEUSZ BYRSKI

# Z dziejów pewnego teatru

## (o dziecięcej scenie w Stoczku)

Grały ostro działa z tej i tamtej strony Wisły, kiedy jechałem od Przemyśla przez Lublin szukać rodziny, która w czerwcu ulokowała się w Stoczku. Sakramentalnie każdy pyta — „czy to ten Stoczek"? — Właśnie ten jeden z pięciu, czy siedmiu, najautentyczniejszy Stoczek, co to pod nim grzmiały armaty. Ale sława wojenna Stoczka skończona, od dłuższego czasu miasteczko jest wielkim skupieniem handlu nierogacizną. Żyją tutaj ludzie dostatnio, chociaż typowo po polsku. Dobrze zjeść, dobrze się ubrać i mieszkać byle jak. Jechałem więc od miasteczka do miasteczka samochodem i jaki się zdarzył na trasie, tak jak to można było jechać w ostatnich dniach sierpnia 44 r. tuż za frontem. Po wielu perypetiach, po kilku dniach ustawicznego wsiadania i wysiadania, wyrabiania sobie „posadocznych talonów" — znalazłem się w połowie września w Stoczku. Pokazano mi dwa domy za miastem. Szedłem z dziwnym uczuciem. A może żona ulegając popłochowi wyjechała z dziećmi do Warszawy? Im bliżej szkoły, tym trudniej było iść. Jeden budynek całkowicie ciemny. W drugim na parterze światełko. Podchodzę, pytam, mówię, kto jestem, robi się ruch, jakieś panie biegają tam i z powrotem — widzę moją żonę, potem córkę, a potem mnóstwo dzieci w długich białych koszulach. Wszystkie patrzą we mnie jak w tęczę. Jestem pierwszym, który się tam zjawił do tej gromadki dzieciaków bez rodziców. Dużo radości, trochę płaczu. Dla mnie zaskoczenie. Od pół roku byłem w zupełnie innej atmosferze. Ten wieczór letni skończył się bardzo pięknie.

### KWARANTANNA

Cóż było robić? Warszawa w ogniach, a roboty bez liku. Parę kobiet, 80-cioro dzieci. Zostałem, żeby rąbać drzewo, nosić wodę, dźwignąć czasem jaki worek. A potem się zobaczy.

Cicho i spokojnie było wtedy w Stoczku. Tyle co przyjechał czasem ktoś z Lublina, jako że kolonia, i niektórzy z personelu, i my osobiście, mieliśmy wielu przyjaciół. Życie płynęło w troskach o zdobycie żywności, ubrania, butów, drzewa. Piłowanie, rąbanie, pranie, a i nauka a pomiędzy tymi zajęciami i rozmowy o polityce ze starszymi, a najwięcej o Warszawie. Warszawa nie schodziła z ust. Wszystko to bractwo było stamtąd. „Powiśle, Wola i Mokotów..." jak mówi piosenka. A wszystkie starsze dziewczynki to doświadczone pracownice podziemia. Więc się opowiadało. Pierwsze ognisko było na korytarzu. Paliło się w otwartym piecu, (w braku kominka, a znów na dworze było za chłodno), ktoś mówił „Redutę Ordona", potem trochę śpiewu. Śpiewały to te dzieci pierwszorzędnie. Tyle w tym było siły, muzykalności, żywiołu, temperamentu! Powrót mój, doprowadził do równowagi żonę, jako że mnie pogrzebała, bo byli tacy, co widzieli mnie żywcem piłą drewnianą rżniętego. I teraz we dwoje zaczęliśmy się przyglądać, tej żywej, interesującej masie dzieci w wieku od 4 do 17 lat.

### ROBOTA TEATRALNA Z DZIEĆMI

Są różne rodzaje teatralizowania. O ile dobrze pojęte amatorstwo może się stać czymś wielce zapładniającym dla profesji, o tyle amatorszczyzna jest straszna. Amatorszczyzna jest zawsze następstwem czyjegoś bezmiednego wyżywania się. Jest rezultatem nieliczenia się przede wszystkim z materiałem, lekceważenia znajomości rzeczy, hołdowania nastrojom i mglistym natchnieniom. Teatr w ten sposób realizowany, nawet jeśli to będzie teatr dorywczy, ochotniczy, może narobić wiele krzywdy. Przede wszystkim wykonawcom — a następnie widzom. Jeżeli nawet przychodziła nam ochota ulepić coś z tej gliny, to czekaliśmy na „okazję". Chcieliśmy, żeby życie samo podsunęło jakieś potrzeby, zważając, że chwile są zbyt mocne w swojej niezwykłości, ażeby na nich sztucznie formować przypadkową robótkę teatralną. I tak się stało. Nasza ostrożność, nieomal abstynencja dała dobre rezultaty. Owszem, mówiło się o teatrze, opowiadało się o różnych ciekawych pracach, czasem się coś zarecytowało, i wreszcie „wybuchł" pierwszy listopad. Czas był mocno dramatyczny. Powstanie tragicznie złamane, tysiące ludzi pognanych w niewiadomych kierunkach. Dymy nad stolicą. Nikt z przyjeżdżających z Pragi nie umiał dobrze określić, co się tam dzieje. Jedni mówili, że niema żywego ducha, kiedyś ktoś powoływał się na relację lotnika, że Kercelak pełny życia, jak za dawnych dobrych lat. Ktoś fantazjował. A niepokój się zwiększał. Powstała myśl zorganizowania uroczystego apelu. Zadanie było sympatyczne, może i nietrudne do wykonania, ale jeszcze wahaliśmy się, czy należy obciążać dzieci, skoro oprócz zajęć w szkole, mają noszenie wody, obieranie kartofli, pomoc przy gotowaniu, porządki i wiele, wiele innych. Ale myśl raz rzucona już nie dała spokoju i zaczęto kombinować, jak, co, gdzie zrobić. Całą uroczystość postanowiliśmy urządzić w szerokim korytarzu zakończonym oknem. Pod oknem od paru tygodni urządzono ołtarzyk. Młodzież zrobiła krzyż, prosty, z nieobciosanego bala, bardzo wymowny w swoich nierównościach, krzywiznach; na ołtarzu wieniec cierniowy z czarnymi szarfami; pod ołtarzem znicz; a wzdłuż korytarza dwa rzędy ładnych pieńków ze świecami w wiankach jałowcowych. Młodzież ustawiono w dwuszeregach pomiędzy pieńkami i ścianami czołem do środka. Okna zakryto witrażami z papieru pomalowanego na kolor stali. Uroczystość zaczął uroczysty apel; potem przemówienie, pieśń konfederatów barskich, litania pielgrzymska. Było parę osób z miasta i trochę żołnierzy sowieckich, którzy w końcu października zajęli pobliski lasek, ażeby w nim posiedzieć do owego styczniowego „nastuplenia". Pamiętam jeden z nich prosił, ażeby mu dokładnie przetłumaczyć moje przemówienie, a szczególnie zainteresował go wiersz Broniewskiego przeze mnie recytowany.

Oto słuchacze i aktorzy stoczkowskiej sceny... *fot. Irena Byrska*

### PIERWSZY OBCHÓD 11 LISTOPADA

I tak się zaczęło. Potem był 11 listopad. Wszyscy go chcieli koniecznie uczcić głośno, otwarcie, pierwszy raz po 5 latach. Zaczęło się komponować; przedtem już trochę opracowywało się „Odę do młodości". Przedtem już kiedyś przy jakiejś okazji powiedziano „L. Barbarę", wiersz z podziemi; „Kołysankę" Miłosza, która tak dziwnie pasowała do chwili. Program montował się jakby poza nami, a montował się logicznie myślowo i sensownie artystycznie. Wyszliśmy z tym już poza nasz dom na miasto do sali miejskiej. Dla mieszkańców nowością było opracowanie całości począwszy od wejścia na estradę aż do wyjścia z sali. I to uszanowano. Ten zdawałoby się niezrozumiały wiersz Miłosza „Kołysanka" pobudził do łez. Być może że imputowano w tej reakcji autorowi myśli, których on nie miał. Ale sam fakt żywej reakcji uczuciowej, dosyć prymitywnego widza na wiersz tego typu, jest jeszcze jednym dowodem, że mit o niezrozumiałstwie w dużej mierze rozchwiać można odpowiednim podaniem. Zaznaczam, że w każdym z tych utworów mniejszy lub większy udział miał zespół. Ledwieśmy przebyli 11-y listopad, już stawał przed nami 29.XI. Dzieci oczywiście były w rozpędzie. Miasto też. Kierowniczka kolonii i lekarka, obie entuzjastki tych kolorowych mirażów, dopingowały mnie i moją żonę, żeby spróbować roboty na większą skalę. Jeżeli chodzi o mnie, miałem poważne wątpliwości. Moje pojęcia o teatrze były tak niezgodne z tym, co się działo u nas przed wojną w dziedzinie teatru dziecięcego, że bałem się przykładać do tego ręki, jeszcze tutaj, w specjalnych okolicznościach. Ale może właśnie te specjalne okoliczności przeważyły szalę. Mieszkaliśmy razem, kłopotaliśmy się wspólnie o każdy następny obiad. Pracy fizycznej było huk i trochę. To dawało pewną gwarancję, że praca nad teatrem nie nabierze cech cukrowo-rozrywkowych.

### DOŚWIADCZENIA „REDUTY" NA DZIECIĘCEJ SCENIE

Z żoną pracujemy zwykle wspólnie rozdzielając pracę etapami. Biorę na siebie przede wszystkim montaż tekstów. Tak więc biedziłem się jak uniknąć sceny z podchorążymi w „Nocy Listopadowej", bo ten fragment obrzydziły nam właśnie różne nieudolne imprezy. Jednocześnie należało stanowczo uniknąć „ról". W pewnym momencie odżyło we mnie wspomnienie ćwiczeń teatralnych robionych z Osterwą. Świetne ćwiczenie na kontakt; na umiejętność słuchania i reagowania bez słów. Osterwa wtedy czytał cały finał „Wesela", a zespół uczniów stwarzał pewne reakcje, które potem były opracowane już pod względem scenograficznym i stały się materiałem do pokazu Instytutu Reduty w r. 1924. (Piszę o tym Żeromski w swoich „Elegiach"). Spróbowałem powtórzyć to, oczywiście z pewnymi odchyleniami, jakie wprowadził mój stosunek do rzeczy, no i charakter środowiska. Ażeby ułatwić zadanie chórowi, należało dać mu pewien tekst. Milcząca reakcja jest jedną z najtrudniejszych, tutaj i pracy mniej, i mniejsze przygotowanie zespołu, wszystko nakazywało większą wyrozumiałość w pracy. Wydzieliliśmy Gospodarza, resztę tekstu dając chórowi bez uwydatniania poszczególnych postaci wg. Wyspiańskiego, wprowadzając jedynie Chochoła i Jaśka. Rzecz prosta przestrzeń sceniczną należało tak zmontować, żeby to mieściło się w naszym życiu codziennym: w jadalni. Woleliśmy wszystko zrobić u siebie, na własnych śmieciach.

Jeden z chłopców starszych zgłosił się do mnie, że chętnie zmontuje reflektory. Wyszperaliśmy w szopie magistrackiej stare reflektory samochodowe i po paru dniach były gotowe dwa reflektory i dwa heble nad piecem, w braku opornicy, o której rzecz prosta nie było poco nawet marzyć. Licząc się zresztą z kapryśnością miejscowej „elektrowni" (młyn), opracowaliśmy widowisko i, że tak powiem, w relacji świecowej. W rezultacie program wyglądał tak: 1. Andrzejki — 2. Dziad i Baba — pierwsza część, II — finał „Wesela", „Oda do młodości" i „Warszawianka" (inscenizacja 2 pierwszych strofek pieśni). Przede wszystkim słowo wstępne nt. „Wesele — dramat świadomości

*fot. Irena Byrska*

Scena z „Pastorałki" L. Schillera w dziecięcym teatrze w Stoczku

politycznej". Widownia zawsze liczyła 100 osób. Więcej nie mogła pomieścić. Daliśmy ten propram 12 razy, przy „wyprzedanej" sali, w mieście, które liczyło nie więcej niż 2.000 mieszkańców. Trzeba znać warunki miejscowe, żeby stwierdzić, że jest to sukces. Ciemnica w mieście, błoto nieraz po pas naokoło domu. Grupy „młodzieży złotej" stoczkowskiej, niezadowolonej, że coś się robi, co nie jest z bimbrem. Więc kamienie, kije, stuki, kiedyś tak zabarykadowano wyjście, że musieliśmy prosić kilku żołnierzy o pomoc w „odkopaniu". Ale mimo wszystko — ludzie chodzili. Podczas przedstawienia trzeba było organizować specjalne dyżury nazewnątrz budynku; dopóki się rozmawiało z tymi chuliganami, wszystko było dobrze. Stali spokojnie. Ale nie daj Boże zostawić ich samych. Wtedy pod oknami i przed wejściem Sodoma i Gomora.

### NASZE PRZEDSTAWIENIE. „PASTORAŁKI"

W połowie grudnia zakończyliśmy przedstawienia pierwszego programu. Ku naszemu zdumieniu rezultat finansowy też nie był do pogardzenia dlatego właśnie, żeśmy na niego wcale nie liczyli. Duma rozpierała piersi dzieciaków; już i zarabiają; biorą więc udział we wszystkich kłopotach i pomyślnościach naszego życia. Miał też nasz „Stoczkowski Teatr" — swoją jakąś mocną, trzoźwą podbudowę. Może nawet trudno byłoby sprecyzować. Była w nim bezinteresowność artystyczna, a jednocześnie jakiś zdrowy utylitaryzm. Rzecz w polityce teatralnej tej „prawdziwej" niebywała.

Jeżeli chodzi o temat Bożego Narodzenia, to niezawodnie tylko tekst Leona Schillera („Pastorałka") mógł nam dać zadośćuczynienie teatralne. Ale nie miałem egzemplarza; mój został w Warszawie. I tu zaszedł wypadek wart przypomnienia i uwiecznienia. Powiat łukowski cieszył się wówczas starostą, jakich mało. Jan Kozioł, człowiek nieprzeciętnej kultury, wielki miłośnik teatru, tępiciel szmiry, dowiedział się o naszych kłopotach. Grzebie się przez dwa dni w swojej zrujnowanej bibliotece i przysyła przez umyślnego egzemplarz schillerowskiej „Pastorałki". (30 klm. końmi). Bierzemy się do roboty w dość ostrym tempie. Egzemplarz opracowany w dużych skrótach. Melodie przypominamy sobie lub zmieniamy, bowiem dodatku z nutami nie ma. Wydobywamy jakąś starą fisharmonię. W poprzednim programie opieraliśmy się tylko na chórze a capella. Ale system pracy, technika, dyscyplina, jak w najuczciwszym teatrze zawodowym. Rzecz prosta ten charakter można uzyskać jedynie w trybie internatowym. Inaczej zawsze amatorski zespół będzie raził wielkimi dowolnościami. Mam wrażenie, że nie byliśmy w kolizji z pedagogią w pracy, a jednocześnie byliśmy w zupełnej zgodzie z dobrze pojętym systemem pracy teatralnej.

I znów ta szalona niespodzianka kasowa: „Pastorałka" poszła w tej małej mieścinie 18 razy, przy „nabitej" widowni (naturalnie tylko sto osób!). Były to naprawdę pieniądze od św. Mikołaja. Zaraz zaangażowaliśmy sobie drwala, żeby odciążyć młodzież od ciężkiej pracy piłowania okrąglaków. Był to pierwszy luksus „profesji aktorskiej". Nasz zespół zaczął zarabiać na życie. Potem przyszedł krach, zmiana pieniędzy, ludzie przestali chodzić. Ale jeszcze „Pastorałka" czasem zdołała zebrać pełną widownię.

### WYZWOLENIE I... POŻEGNANIE

Nadszedł moment zajęcia Warszawy. U nas odbiło się to specjalnym echem. Zaczęły ciągnąć do naszego domu — matki. Pamiętam pierwszą matkę z tamtej strony. Był później wieczór. Dawaliśmy wyjątkowo widowisko o godz. 20-tej dla oddziału W. Polskiego maszerującego na Zachód. Zatrzymali się na nocleg w sąsiednim budynku. Za chwilę wypełnili salę — zaczynamy. W tym samym czasie matka jednego z naszych chłopaków — Adama, brnie przez śnieg do Stoczka. Widzi wszystko w najczarniejszych kolorach. Dzieci napół zagłodzone, zjedzone przez wszy, przetrzebione chorobami. Docierają do naszego domu. Otwiera drzwi i wpada w gromadę aniołów, którzy właśnie ze śpiewem „Z tamtej strony sioła" — wchodzą na scenę. Opowiadała nam później, że zestawienie jej myśli z tem co zobaczyła, było tak niespodziewane, że przez chwilę zwątpiła o swoich zdrowych zmysłach.

W ciągu drugiej połowy stycznia i lutego przerzedziła się nasza brać aktorska. Odeszła karczmarka, jeden z pastuchów, archanioł Gabriel. Ale były to szczerby radosne. Odchodziły dzieci z matkami, ojcami, czasem z wieścią o śmierci tego lub owego. Odszedł gwiaździarz, miły piegowaty Leszek, typowy warszawski cwaniak. Wszyscy oni szli z radością, ale smutnie kiwali głowami przed sobą. Takiej kolonii już nie będzie. Nie będzie takiego teatru. Bo jak to powiedziało jedno z dzieci — „bo proszę pana, ten teatr był nam bardzo potrzebny, prawda"? — Kiedyśmy na miłą Zosię Tomaszewską wołali „Zosiu, Zosiu!" — zawsze dodawała: „Boga proś — jedzie, tętni". Wszyscy się śmieją — a ona na to — „Bo tak się mówi".

*Tadeusz Byrski*

STANISŁAW SKONECZNY.

# WIERNI ZIEMI

## (fragmenty poematu)

1.

**Wiatr, co słoty od zachodu na pola nawiewa,**
**górom i dolinom dziś tego nie powie,**
**ani ptak wczesną wiosną tego nie wyśpiewa —**
**nienapisana w wiersze układa się powieść**
**z tych lat, które padały w noc i rosę dymem**
**palonych wsi i ludzi w obozach, zamkniętych**
**w Majdanku Gross-Rosen, Dachau i Oświęcimiu.**

**Ogródki oknom jak zawsze pachniały miętą,**
**dziewczyny smutek oczu zawieszały na krzyżach,**
**jak ostatnie wota za młodych umarłych**
**jasno i ciemnowłosych. Słońce szło wyżej,**
**gdy padali w doły nieświęcone w salwie**
**lasków ogrodzonych egzekucyjnym plutonem.**
**Kobiety w te lata nie umiały płakać ni krzyczeć**
**swego bólu za synem zabitym czy mężem. Spalone**
**chaty śnieg zasypywał i groby w okolicy,**
**gdzie dla turysty nie było widoków, barwy dla malarza,**
**dla poety tematów na wiersze liryczne.**
**Tu każdy warkot motoru niósł tupot przerażeń,**
**noce nawet majowe bywały tragiczne.**
**A jednak ludzie wciąż na zgorzeliskach**
**stawiali niskie domy z ociosanych bali,**
**pola szły do stodół zaoranym rżyskiem,**
**garścią spracowaną chłopi ziarno siali.**
**Był w tym upór i siła mocniejsza od armat,**
**od sytuacji na frontach i grobów masowych**
**chłopa zarośniętego z ziemią piaszczystą lub czarną.**
**Wieczory grające świerszczami na nowiu**
**bławatkami pachniały tęskniącym dziewczętom**
**za uściskiem ramion zamyślonych chłopców**
**w miękkim zbożu, szumiącym dopóki niezżęte.**
**Cienkim płaczem witały rodzące się dzieci**
**migot lampy naftowej w blady świt, co kopcił**
**i dymem zagród w sady sczerwieniałe leciał.**

2.

**Z sosen, które wspomnieniem zostały po lesie,**
**cień padał na dach stromy pobijany gontem.**
**Nieraz sroka z leszczyny w okno z rana drze się —**
**zły znak dla gospodyni, gdy wypadnie w piątek.**
**Sadek obok drogi ze śliw i jabłoni**
**wiśniom za stodołą zazdrościł czerwieni,**
**pięcioletni Janek ptaki klaszcząc gonił,**
**potem kury i gęsi z pól owsa i pszenic.**
**Drogę gospodarską wiatr faluje zbożem,**
**spływa nią chata nowa oczom na skraj lasu.**
**W górce, gdzie wśród wiązów wieś dymi w tej porze,**
**bydło porykuje pędzone na pasze.**
**Wieczór niesie głosy codziennych obrządków**
**w czarną ścianę drzew grubych i krzaków jałowca,**
**od łąk powiew gasi brzóz palonych szczątki**
**na podpartym topolami horyzoncie. Łowcy**
**barwnych motyli i brzęczących muszek,**
**nad oknami w lepiankach i w gęstej zieleni**
**śpią, gdy gwiazdy spadają wonią słodkich gruszek**
**w mokrą trawę pastwisk, w olszyn długie cienie.**
**Wysoko na błękicie jak spłoszone mewy**
**lecą białe obłoki poza linię wzroku,**
**trzepoczą nad polami jak wczesna ulewa**
**skrzydła białych gołębi prowadzonych okiem**
**bosonogich chłopców idących do szkoły.**
**Wieże stare z cegły wyrastają dniami,**
**by opadać w mgły próżne jak w ciepłe popioły,**
**migocące jeszcze na polach gwiazdami**
**ognisk opuszczonych rykiem krów w opłotkach.**
**Zieleń sadu księżego gęstwą komin dymi**
**plebanii murowanej o szerokich oknach.**
**Teraz się odbywa w pełni żniwna praca,**
**bocian niby kajak malowany płynie.**

3.

**Wiatr piasek rozdmuchiwał spod nóg długich kolumn,**
**w okna horyzontu noce biły ciemne**
**ogniami wybuchów na sprzątniętych polach.**
**Warczały polskie szosy pogonią wojenną.**
**Tratowana ziemia rodziła na błoniach**
**w tę jesień sczerwieniałą łunami na drzewach**
**mgły pędzone lotem czarnych stad gawronich**
**Październik opadł w miedze pluchą nie ulewą.**
**Ciężkie samochody za jeńcami dudnią,**
**działa w lasach rdzewieją, nie huczą wśród błysków.**
**Niebo w chmury się skryło, ażeby nie patrzeć**
**na sine twarze poległych. W cieniu domów bliskich**
**idą jeńcy, orzełki nie błyszczą na czapkach.**
**Zasypują mgły leje bomb, a przygasłe zgliszcza**
**rozwiewa w szarudze łopotanie wrogich**
**czerwono-czarnych flag. Rdzewieją jak liście**
**dni zmiażdżone czołgami na zjeżdżonych drogach.**

TADEUSZ ROKITNIAK-CHRÓŚCIELEWSKI.

# Cztery dni

## (Wiejski pamiętnik miejskiego inteligenta)

Maryśka właśnie skubała kurę i z zakasanymi rękami, w dosyć brudnym fartuchu, zaróżowiona i wyraźnie zmieszana moim przyjściem i swoim strojem wyglądała naprawdę uroczo. Czuję, że jej niepewność byłaby o wiele mniejsza, gdyby teraz między nami leżała książka. Do późna w noc myły jeszcze z Kurzakową podłogi, a mnie zaś Kurzak traktował bimbrem i szeroko i dokładnie opowiadał o przebiegu rady gminnej, z której tylko co wrócił.

— — — — — — — — — —

Dzielny chłop ten Kurzak — śpi teraz w starej otwartej stodole, w pustym polu o kilkaset metrów od zabudowań i pilnuje tam siana. Nie tak dawno przetrącił kijem dwóch łazików, udających żołnierzy, gdy się tam w nocy dobierali.

Kurzak nie zawsze jest taki przyjemny. Zadrażniony instynkt posiadania zdziałał, że ten dobroduszny, spokojny o leniwych ruchach stary chłop był wtedy straszny. Wtedy — w wigilię odjazdu Maryśki do liceum. Leżeliśmy wszyscy na słomie. W nocy wpada Kurzak, rycząc po prostu jak zwierzę, klnie strasznie. Taktownie wtulam głowę w poduszki, udając że śpię. Klątwy się sypią. Marysia z matką szybko zarzucają coś na siebie i wyskakują na dwór, gnając po nocy w pole. Dobiegają mnie krzyki — cichsze — głośniejsze. Po chwili wracają: Kurzakowa klnie, trochę może, ale nie bardzo subtelniej niż mąż. Maryśka pochmurna i daleka — milczy, choć nie wydaje się zupełnie zażenowana. Ukradziono trochę siana, trzeba wszystko wnieść nocą pod dach. Momentalnie zanika gdzieś ta ceremonialna uprzejmość względem „profesora". Jestem zupełnie poza nimi, obcy, nieprzydatny, mimo że kurtuazyjnie ofiarowuję pomoc. O wyjeździe Maryśki i mowy nie ma.

— — — — — — — — — —

Jesteśmy zaproszeni na pierwszy dzień świąt do Marysinej koleżanki. Z koleżanką swą zawarły swego czasu „śluby panieńskie" zupełnie podobne do ślubów Fredrowskich. I potem się „na śmierć i do grobu" posprzeczały o niejakiego Józefa.

— — — — — — — — — —

24. XII. 45 r. Wigilia.

Wigilię spędziłem u siostry i matki. Śpiewaliśmy, siedząc koło siebie przy stoliku, kolędy niemożliwie fałszywymi głosami. Tak jest od lat. Pusto nam było bardzo bez ojca i reszty rodziny. Ale potem idę do Maryśki. Pomiędzy nią a mną coś napewno jest, o czym się nie mówi. Piliśmy znów wódkę pod grube kawały pieczonej, kapiącej gorącym tłuszczem, słoniny. Marysia umoczyła usta. Chodzę teraz w ich kożuchu i baranicy na głowie, wyglądam jak Bartek z szopki kukiełkowej. Jestem zadowolony i Marysia jest też zadowolona ze mnie. Pachną kilimy i grube baranie kożuchy. Plącze się kot, odkopywany, to niespodzianie brany na rękę przez dzieci.

O 11-tej przyszli „kawalerowie" i kilka dziewcząt. Mamy iść z nimi na pasterkę. Czerwoni na twarzach, naiwnie pewni siebie i weseli. Krawaty z elegancką fantazją wypchnięte naprzód, kapelusze zatknięte na wystrugane kijki. Najkomiczniejsze jest to, że zasugerowany ich pewnością siebie, zaczynam odczuwać kompleks niższości. Irytuje mnie w tej chwili nieumiejętność dostosowania się, czuję własną niepotrzebność i okręcam się, co mnie nie mniej irytuje, w płaszcz profesorskiej wyniosłości. Chłopcy poufale wymachują po izbie kijami. Dziewczęta śmieją się zalotnie i przylepiają się do nich nie wyłączając Maryśki. Kurzak odsłoniwszy zadowolony zęby powyżej dziąseł sięga do szafki po gorzałę. Żarty są — uważam — dwuznaczne i dziewczęta powinny być urażone, ale urażony jestem tylko ja. Obijając się o futryny, wychodzimy wszyscy razem. Mamy dwa kilometry drogi. Droga prowadzi polami a potem wpoprzek przez zamarznięty Świder. Wielkie zaspy. Dziewczęta ze strachem obsuwają się po brzegu, na zuchwałość chłopców reagują przestraszonym, zażenowanym śmiechem. Kawalerowie w zależności od temperamentu i temperatury uczucia pchają dziewczęta w śnieg lub przenoszą na drugą stronę na plecach. Jest cudowna bożenarodzeniowa noc. Wszechświat składa się z jednej płaszczyzny. Niebo zatraciło swe realne kształty i przez to swą odrębność. Chwilami zaczernieje jakiś rosoch drzewa — delikatnie przebija światło przydrożnej chaty. Z równym powodzeniem możnaby tu mówić o zieloności i błękicie. Raczej przeczuwa się ciszę, a w niej aż coś mistycznego, jakgdyby zupełnie realnie rączka Dzieciny uniosła się błogosławiając nad światem. Mijamy jakieś domy i wreszcie przed którymś się zatrzymujemy — jakiś ciemny budynek — to właśnie kaplica, już zatłoczona ludźmi.

Wpychamy się do wnętrza. Jest zupełnie cicho. Wszyscy zaczynamy falować to do jednej ściany, to do drugiej. Jacyś znajomi uśmiechają się do nas. Mężczyźni w grubych jesionkach, starsze kobiety okutane w czarne włóczkowe chustki — dziewczęta w mazowieckich żółtych kożuchach. Starsze kobiety siedzą w ławkach. Zaimprowizowany ołtarz, z tyłu lampka osłonięta różową bibułką ma wywoływać nastrój, ale nastrój jest i bez tego. Zapadł weń i jeszcze go potęguje ten nieustanny kaszel i stuk obcasów. I to coś niezwykłego, ta tajemnica, która nas tutaj ludzi podobnych sobie ściągnęła nocą, zewsząd do tego ciemnego pokoju tkwi tak jakoś i w wilgotnych zapachu kożuchów, chustek, naftaliny i jarmarcznej wody kwiatowej i śniegu. Jakiś zgarbiony chłopiec wniósł dużą czerwono-niebiesko-złotą oświetloną gwiazdę na kiju i umocował nad ołtarzem. W tej chwili kołysanie odrzuciło mnie bardzo daleko pod ścianę, prędko wszedł ksiądz i niewiadomo poprostu kiedy zaczęła się po ciemku, prawie jak w nocy msza. (Pierwszy raz byłem na pasterce i to wiejskiej).

— — — — — — — — — —

Była godzina trzecia, gdyśmy doszli do domu. Marysia ku mojej nieukrywanej rozpaczy bardzo usilnie zapraszała kolegów do wnętrza. Z pewną gracją i zażenowaniem

kłanianiem się, dziękują. Umawiają się na jutro, a raczej na dziś do Frani. Będze ktoś, co z wojska wrócił i „fajnie“ gra na harmonii. Marysia przytupuje obcasikami i robi *pas* kujawiaka. Uf! nareszcie odchodzą. Tego zdania jest i Maryśka, ale w takim razie dlaczego prosiła? Zauważyłem, że Maryśka jest bardzo czuła na dobry ton (o tyle o ile ja chcę uchodzić za bezpośredniego). Przesądem jest mniemanie o bezpośredniości i prostocie życia wiejskiego. Jest tam „savoir vivre“ i nie mniej nawet skomplikowany, tylko inny. I trzeba go znać. I ja przeczuwam to raczej, niż widzę, kiedy rażę ich nieraz swoim rydlowskim... niewychowaniem. To, co w mieście byłoby nie do pomyślenia, że ja i Maryśka śpimy w jednym pomieszczeniu — jest tutaj zupełnie naturalne. Ale za to — nawet później, w czasach narzeczeńskich — nie przeszlibyśmy przez wieś pod rękę, ani nawet za rękę. Jest to jedna z największych nieprzyzwoitości. Inne zupełnie jest przyjmowanie gości. Sadza się go pieczołowicie na zydlu i jeśli się akurat wyjmuje co z garnka, daje się i gościowi, ale bynajmniej nikt nie stara się go specjalnie bawić. Na 20 minut przed zamierzonym wyjściem, gość porusza się zwolna na zydlu i zapowiada, że „ano“ trzeba iść. Należy go wtedy naturalnie zatrzymywać, aż do tych mniej więcej 20 minut. Boję się u Marysi tego „dobrego ułożenia“. Boję się, że inteligencji wiejskiej, przeniesionej na grunt miejski grozi nie chamstwo, na co się apriorycznie narzeka, lecz przeciwnie *małomiasteczkowość*.

— — — — — — — — — —

25. XII. 45 r. — pierwszy dzień świąt.

Gimnazjum dziś wystawiło jasełka. Reżyserował Tania. Naturalnie Rydel. Byli: ruski komendant, wójt, rodzice... Pół klasy zarezerwowano na scenę. Znajdowały się na niej choinki. Przed choinkami Herod. Okrutny ten król siedział w szkolnym konfesjonale. Kręcił się niecierpliwie. Za konfesjonałem siedział diabeł, który miał do ogona przywiązany autentyczny dzwonek, ale mniejszy od szkolnego. Była to dość duża atrakcja. Weszła śmierć, ładna dziewczynka z warkoczami, usmarowana kredą, niosła bardzo ostrożnie kosę. Grzecznie dygnęła siedzącemu w pierwszym rzędzie p. dyrektorowi i bardzo ostrożnie choć niezbyt dokładnie ścięła głowę komu należy.

Byli i trzej królowie — jeden również w koronie, drugi jednakże w szaliku „profesora od śpiwania“ — turecki, trzeci w źrebakach pani dyrektorowej —, bardzo zagraniczny król. Dla św. Mikołaja wyproszono futro i baranicę pana komendanta ruskiego z gwiazdą.

— — — — — — — — — —

Dziś wieczorem oświadczyłem się Maryśce. Oświadczyła się właściwie w moim imieniu matka rodzicom Marysi.

Zostałem przyjęty.

— — — — — — — — — —

26. XII. 45. — drugi dzień świąt.

Dziś od rana składamy z Marysią wizyty i prosimy na przyjęcie zaręczynowe. Trochę też siedzieliśmy nad niemieckim. Ale trochę. Bałem się właśnie tego. Marysia siedziała wsparta brodą na moim obojczyku i przy każdym, bardziej uzbrojonym artylerią zawiłych słów, zdaniu, przytulała się do mnie bardzo bezradnie.

Jest mi bardzo jasno na duszy. Śmieszne jest patrzeć na nią, jako na coś własnego. I tej własności nikt nie zaprzecza, a każdy przypomina.

Ojciec chodzi po izbie zadowolony, mruga swymi małymi oczkami i radzi mi, że powinienem żonę często i gęsto bić. Patrzymy sobie z Marysią w oczy i bardzo się nam ta myśl podoba. Przytulamy się do siebie. Na razie jest to zupełnie nieaktualne, gdyż zdaję się być pantoflarzem.

Przyszła matka i zobaczywszy — co było zresztą bardzo rzadkie w tym dniu — że siedzimy oddzielnie, z miejsca zaprotestowała: „To jest miłość... tyłek na pana profesora wypucyła i kontanta...“

— — — — — — — — — —

Więc wizyty narzeczeńskie. Maryś promienna i bardziej różowa niż zwykle. Przedstawia mnie, a ja kłaniając się — czuję, że za sztywno i niezupełnie zgrabnie — całuję podaną mi i potem nieśmiało szarpiącą się w tył ciemną i spracowaną rękę.

A mimo wszystko, idąc od chałupy do chałupy, trzymamy się pod rękę i brniemy umyślnie po najgłębszych zaśnieżonych bruzdach, wykopując ku górze obcasami śnieg. Tam, gdzie wystąpiłyby najniższe gwiazdy, gdyby nie to, że całe niebo jest jasności gwiezdnej, kostropaczą się ruiny szkoły. Wiążą się z nimi dla Marysi przykre wspomnienia. Bawił się pod nią znalezionym granatem jej braciszek Ignaś. I potem pozbierano tylko jego szczątki. Mój pierwszy przyjazd na wieś zbiegł się z pogrzebem Ignasia. I kobiety to ogromnie odczuły.

— — — — — — — — — —

Przebywszy 100 metrów, dzielące nas od jednej chałupy ciotki do drugiej chałupy ciotki i wykopawszy pod niebo bardzo dużo najsrebrniejszego śniegu, ustaliliśmy bardzo zasadnicze plany życiowe: czternastu mórg należących Marysi, broń Boże, nie sprzedamy, ale wydzierżawimy, będziemy tu stale dojeżdżać na wieś.

— — — — — — — — — —

Domek cioci Oklesińskiej niczym się nie różni od innych zwyczajnych domków, ale ciocia Oleksińska nie jest zwyczajna. Oczy ma zupełnie bezbarwne, choć czarne i wąską rękę. W kącie czystej izby stoi balia, po której bawiąc się, skacze malutki, śmiesznie umorusany kociak. Ciotka jest poważna i trochę jakgdyby dostojna, mówi niskim altem, kładąc nacisk na każde pierwsze słowo i narzuca dystans pomiędzy sobą a nami. Marysia nie jest w tej chwili śmiała.

— Ciociu, niech ciocia powie, jak ciocia wiedziała, że będzie wojna?

— Idę (tak mi się śni) taką czarną, czarniuśką drogą. Tak tam strasznie. Aż tu patrzę, cztery kule się toczą, takie srebniutkie, a tam coś takiego skwierczy. Co to skwierczy? patrzę, a tam ogień i siarka straszna. A potem krzyże stoją i szaszkami w nie sieką, a one pomiędzy sobą obejmują się za ramiona i płaczą, tak jakoś płaczą i kobiety też płaczą.

Pytam się: po czem płaczecie kobity?

— Po dzieciach płaczem.

I to było tak po żniwach. Po tym wiedziałam, że będzie wojna.

— No i poszła ciocia do księdza, a ksiądz?

— Powiedział ksiądz, że „może tak być, a może nie być, tylko trzeba się modlić“. I modliłam się, ale Niemiec przyszedł. A jak Ignaś nieboszczyk miał umrzeć, to też śnił mi się: przychodzi taki maluśki, taki zachlipnięty, jeno w samych gaciach i mówi: „ciociu, ratuj“. Ja tu patrzę, a on zaczął się kurczyć i kurczyć, aż tu patrzę, a on już taki jak ziarenko, aż tu nie ma go. Wtedy idę do was i mówię: pilnujcie Ignasia, bo mu coś złe jest“.

Zbieramy się do odejścia.

— Przyjdzie ciocia do nas na zaręczyny?

— Przyjdę.

Czarne pomarszczone palce przesuwają się nerwowo, a tak jakby gniewnie po fartuchu.

— Jak będziecie przechodzić koło stajni zawołajcie tu Felka.

Idziemy teraz już prosto do domu.

— Wiesz, ciotce się kiedyś tak zrobiło. Kogoś bardzo kochała i nie wyszła za niego i od tego czasu zaczęła mieć takie sny. Już i doktorzy się do niej zjeżdżali i jakiś tam profesor z uniwersytetu spisywał.

— — — — — — — — — —

W stosunku do swych koleżanek i kawalerów Maryśka zrobiła się dziś bardo wyniosła, zaprosiła tylko jedną i to wysyłając do niej bilecik, który redagowała chyba z pół godziny.

— — — — — — — — — —

Chodzimy tam i z powrotem po izbie. Przywieźli moją matkę, która położyła się zaraz w alkierzu, gdyż boli ją krzyż.

Jest zmieszana i otoczeniem i brakiem mebli i zupełnym prymitywem chałupy. W jednym kącie siedzi dwóch sołdatów. Mają brody po pas i powalane mundury. Przyszli „za kwaterą“. Przed narożnym rzędem świętych obrazów kłaniają się i kładą na siebie olbrzymie znaki krzyża. Są to prawosławni chłopi rumuńscy. Teraz siedzą pod piecem i patrzą zupełnie obojętnie przed siebie.

Maryś trochę jest nachmurzona, ja zaś nieswój. Może ten mój nastrój się jej udzielił. Ni z tego ni z owego zrobiło się nagle ciasno od gości. Nie wiem nawet kiedy usiedliśmy na przybranych dla nas zielenią stołkach. Tkwimy na nich ciasno pomiędzy stołem a choinką. Patrząc na profesora „od śpiwania“ — mego serdecznego przyjaciela Stefka Kozickiego, zatopionego opodal w gronie bardzo wąsatych mężczyzn, przypomina mi się paradny opis gości w „Onieginie“ Puszkina i figurka monsieura Fricke. Czy i ja jestem tu tak samo groteskowy? Czy na dnie tego dzisiejszego zebrania nie kryje się jakaś nieszczerość? Co tu robi wśród tych obcych, śmiejących się teraz do nas ludzi, moja matka, która miała tak silne zawsze poczucie klasowe? Czy to szczurza ucieczka od własnej warstwy zagrożonej rozbiciem? Czy to znaczy, że mój kręgosłup ma moc stania powoju, więc się muszę oprzeć o pień z ziemi?

Jak ogarnąć myślą i pochwycić słowami to co czynię? — Chyba to będzie odczucie właśnie jedności społecznej w oparciu o ziemię i, gdy się jakoś odezwało i zwisło — oto powrót, aby z niej bolesnej wyrastać.

— — — — — — — — — —

Jest bardzo głośno i wciąż patrzą na nas, jak na rarogi. Ktoś nam życzy, ktoś się nachyla z kieliszkiem.

Brzdęk, brzdęk — stukamy się.

Nie pij, Maryś, ale wiem przecież, że Marysia dotyka właściwie tylko wargami szkła.

Powtarza się po raz dziesiąty „bajeczny“ żart o pieluszkach, jak również wesołe pytanie: ile będziemy mieć dzieci?

— „Dużo“ — odpowiada Maryśka, rzucając jednocześnie w moją stronę spojrzenie koloru roztopionego miodu.

Zdumiały się dwa brodate sołdaty.

— Cztoż eto? brak li u was *siewodnia?*

— Chwalić Boga niczego nie brak, tylko zaręczyny!

Zdumiewają się dwa brodate sołdaty.

— aaa?

*Tadeusz Rokitniak-Chróścielewski*

STEFAN LICHAŃSKI.

# Książka o wczorajszych ludziach

Zacznijmy od stwierdzenia faktu nader ważnego: nowa powieść Rymkiewicza*) ukazuje się w momencie dla niej niekorzystnym. Książka ta, napisana w roku 1938, wyszła z druku w chwili, gdy przeobrażenia polityczno-społeczne zmieniły gruntownie sytuację tych grup, z których wywodzą się bohaterowie powieści, a więc inteligencji wolno-zawodowej, ziemiaństwa i finansjery. Za parę lat książka Rymkiewicza będzie charakterystycznym dokumentem czasów niepowrotnie minionych, wydana przed wojną — byłaby jednym z argumentów w akcie oskarżenia ginącego świata; dziś jednak zdaje się być pozycją literacką pochodzącą jakby z marginesu rzeczywistości bieżącej. Niewłaściwy czas wydania stwarza możliwość błędu perspektywicznego w spojrzeniu na ten utwór, dla momentu swego powstawania niezwykle charakterystyczny.

„Ludzie bez jutra“ powstawali w okresie, gdy do zenitu doszło napięcie katastrofizmu, gdy każdy niemal nowy utwór literacki przynosił ponure proroctwa zagłady i zniszczenia. I stanowczo do tamtych czasów, których atmosferę określały „Sklepy cynamonowe“ Schulza i „Ferdydurke“ Gombrowicza, odnieść należy powieść Rymkiewicza. Rymkiewicz nie wieści zagłady, **ukazuje ją:** trzy wątki fabularne splatające się ze sobą w jego książce — to dzieje trzech życiowych katastrof, których bohaterami są adwokat, ziemianin i finansista. Katastrofy te nie są wynikiem jakichś doniosłych przeobrażeń w życiu dookolnym, są to prywatne klęski ludzi pojedyńczych, prywatne — ale symptomatyczne jako objawy rozpadu grup społecznych, do których ci ludzie należą.

Rysem charakterystycznym owych trzech postaci reprezentujących trzy odrębne grupy t.zw. „wyższych sfer“ jest zanik instynktu działalności twórczej, psychika ich — to psychika życiowych rozbitków. Ziemianin Ruzamski nie potrafi znaleźć innego ratunku w swych trudnościach majątkowych niż fantastyczne pomysły tworzenia sanatorium i — oszukiwanie chłopów: dyrektor Bartlitz zrobiwszy karierę dzięki bogatemu ożenkowi nie może jednak wyrość ponad poziom sprytnego prowincjonalnego sklepikarza i daleko mniej wykazuje przedsiębiorczości i energii w swej działalności handlowej niż w awanturach miłosnych; najsympatyczniejszy z tej trójki mecenas Dobranicki — to adwokacki Hamlet na małą skalę, człowiek o wrażliwym sumieniu i subtelnej uczuciowości, ale uginający się zbyt łatwo wobec t.zw. „konieczności życiowych“, pozbawiony jakiejś wyraźnie określonej postawy światopoglądowej.

A koło nich cała galeria ludzi „ginącego świata“: kapitalny „filozof“ Ignacy, rozhisteryzowana pani Ija, zacny kuzynek Oro, grafomanka Bartlitzowa, adwokacka kanalia Kieres — cała galeria ponurych okazów ludzkiej fauny, ludzka pleśń wegetująca na strupieszałym i rozkładającym się organiźmie społecznym.

W czasach kiedy nawet poetyccy debiutanci bezustannie straszyli nas Apokalipsą, Rymkiewicz ideologicznie zajmuje stanowisko pokrewne pisarzom lewicy społecznej — ukazuje konkretny kształt zła, które musi przesilić się w olbrzymiej burzy dziejowej, niweczącej do gruntu ponurą przeszłość, ukazuje ślepą uliczkę, w jakiej znalazło się życie naszego mieszczaństwa u schyłku międzywojennego dwudziestolecia.

Rymkiewicz pokazał tylko jakby jedną stronę medalu: życie klas ginących. Bardzo możliwe, że takie potraktowanie sprawy wzbudzi zastrzeżenia. Trzeba jednak zwrócić tu uwagę na fakt, że autor posługuje się w swej powieści schematem „romansu z życia wyższych sfer towarzyskich“ — kompromitując go jednocześnie. Mamy tu typową historię uwiedzenia ubogiej dziewczyny przez zamożnego lowelasa (romanse Bartlitza z Ceglewską i Kazią), mamy trójkąt małżeński (Bartlitz — Klara — Aktaboski), mamy nieodzownego „wampira“ (Ija), mamy aferę rozwodową (Bartlitzowie), mamy wreszcie wymiar sprawiedliwości na zdradzieckim uwodzicielu (śmierć Bartlitza). Typowe motywy powieści buduarowej zostały tu wyzyskane z wyraźną akcentacją ironiczną, choć skala tej ironii jest bardzo szeroka — od złośliwych kpin aż do efektów splatających ironię z tragizmem (epilog powieści).

Jasne, że tak pomyślana powieść odchylać się będzie od epickiej rzeczowości w kierunku ośmieszającej karykatury. Scen o charakterze wyraźnie karykaturalnym mamy w powieści sporo (małżeńskie kłótnie Bartlitzów, Ruzamski „przeciwdziałający“ słocie pukaniem w barometr, wizyta Białokura w Goraninie, ucieczka Bartlitza przed narzeczonym Kazi). „Ginący świat“ — jakim go widzimy w powieści Rymkiewicza — to nie żadna potężna a szkodliwa siła, nie żaden groźny zator na drodze postępu — to po prostu kupa śmieci, które trzeba jak najprędzej zmieść z powierzchni życia.

Nasuwa się tu zastrzeżenie, czy pogląd taki nie upraszcza zagadnienia, czy nie traktuje jako błahego drobiazgu sprawy nader poważnej. Oczywiście, że zarzut taki byłby na miejscu, gdyby chodziło o jakąś próbę przekroju epoki w rodzaju kadenowskiego cyklu „Czarnych skrzydeł“ i „Bigdy“. Powieść Rymkiewicza szła w kierunku innym: w kierunku powieściowej karykatury. Przedmiotem analizy są dla autora postacie przeciętne, zupełnie pospolite, bynajmniej nie tak reprezentatywne dla swojej grupy, jak np. Bigda w opinii Kadena był reprezentatywny dla grupy chłopskich przywódców politycznych z okresu przedmajowego. Powiedział ktoś (zdaje się Chesterton), że o sile łańcucha decyduje jego najsłabsze ogniwo. Rymkiewicz pokazał w swej powieści wartość właśnie najsłabszych ogniw mieszczańsko-inteligenckiego łańcucha, pokazał fakt rozpadania się od środka klasy jeszcze oficjalnie „panującej“.

Oczywiście, że wolelibyśmy widzieć Ruzamskiego, Bartlitza, Bartlitzowa w toku działania. Jakiś krótki fragment z powieści Klary mógłby nas przekonać daleko skuteczniej, że mamy do czynienia z pretensjonalną grafomanką, niż zapewnienia autora na ten temat. Autor zaniedbał gromadzenie materiału dowodowego przeciw swoim bohaterom, czy raczej: zachował ów materiał dla siebie, zapoznając nas tylko z motywami wyroku. To jest chyba najpoważniejszy zarzut, jaki można postawić powieści. Bo bardziej nas ciekawi handlowa moralność Bartlitza niż jego romanse. Brak ten zaznacza się tym wyraźniej, że o fachowej działalności Dobranickiego autor mówi bardzo dużo. Karykatura jest tym lepsza, im trafniej i mocniej podkreśla rysy charakterystyczne postaci karykaturowanej, a przecież chyba najcharakterystyczniejszym rysem dyrektorów wielkich przedsiębiorstw handlowych nie jest skłonność do uwodzenia maszynistek.

Książka Rymkiewicza jest już dziś spojrzeniem w niedawną ale bezpowrotnie minioną przeszłość. I to jest chyba najżałośniejsze w całej bezustannie o ponurą farsę zatracającej tragedii mieszczaństwa, że niepodobna go nawet pożegnać eposem. Mickiewicz i Słowacki żegnali odchodzącą w przeszłość Polskę szlachecką „Panem Tadeuszem“ i „Beniowskim“, ale Polskę mieszczańską żegna się tylko karykaturą, ironicznym uśmiechem. I chyba tego właśnie wymaga dziejowa sprawiedliwość.

*) *Władysław Rymkiewicz: Ludzie bez jutra, powieść. Warszawa, 1946, wyd. Eugeniusza Kuthana, str. 285+3.*

STANISŁAW PIĘTAK

## Odpoczynek

**Najpierw przechylić trzeba siwą gałąź cienia.**
**Grabie, które niosę, ptaszek w nuty przemienia.**
**Zieleń wierzb, topoli, grusz zdaje się być czarna.**
**Tam półkopki żyt wiedzie na promieniu sarna.**
**Właśnie z chat białych nad wodą anioł stoi.**
**I dziewcząt, co śmigają bose w blask się boi...**
**Daj się przejrzeć mej Miłej w niebie jak w lusterku —**
**czemu, słońce, cienie tniesz na drodze złą siekierką?**

**Już do rzeki zstępowałem, by ukryć skronie,**
**a tu dzieci nagie, złote, srokate konie**
**pławiąc, zajęły głębię wody do wieczora.**
**Usnąć w smutku piosnki, o luba, dla nas pora...**

**Zamyśliłem się, czy to w włosach twych jaskółki**
**kołacz obłoku strzępią na świetliste chmurki,**
**lecz samolot źrenice twoje przeciął krzyżem.**
**Ukryj mnie przed myślą, nachyl się głową niżej...**

# Dyskusja o gwarze

*Osoby biorące udział w naszej dyskusji można podzielić na trzy wyraźne grupy. Pierwsza, to pisarze i poeci chłopscy, którzy wypowiadają się na temat warsztatu swojej pracy: Józef Pogan („Gwara to nie chińszczyzna“, Nr 26 ogólnej numeracji), Paweł Kubisz („Pogańska herezja“, Nr 31), Stanisław Jucha (Nr 30). Druga grupa, to wypowiedzi chłopów (są zresztą między nimi pisarze, ale w tym wypadku zabierają głos tylko na temat przyszłości gwary w jej potocznym, społecznym użyciu): Urban (Nr 26), Witowiak (Nr 33), Wyrobek (Nr 33). Trzecia grupa wreszcie, to krytycy: Budzyk (Nr 29), Sandauer (Nr 29), Kempf (Nr 30).*

*Dzisiejsi uczestnicy naszej gwary, to litelitera ci zainteresowani wszczętą przez nas dyskusją i dołączający do niej swoje wypowiedzi: Z. Starowieyska-Morstinowa i J. Al. Zaremba.*

### DWA ASPEKTY GWARY

Dyskusja o gwarze jest niezmiernie ciekawa, ale samo zagadnienie jest trudne i skomplikowane, jak każde, na które się nie da odpowiedzieć „tak“ albo „nie“.

Bo o ile sztuczne podtrzymywanie gwary w literaturze jest bezcelowe, o tyle niesłuszne byłoby potępianie jej w czambuł.

Wydaje mi się, że stawianie tu jakichś niezłomnych pryncypiów byłoby fałszywe, sztucznie zubożałoby możliwości literackie i językowe, zresztą wytwarzanie tu zasad teoretycznych nie wieleby pomogło.

Sprawy językowe rozstrzyga najczęściej samo życie. Życie ciągle język urabia i przekształca. Każde pokolenie ma swój własny sposób mówienia. Pamiętam starego stryja, który — ku uciesze nas dzieci — zawsze mówił że kładzie „galosze“, że lubi jeść „jèndyczki“ i że idzie do „golibrody“ (podobno ojciec jego mówił do „perukarza“). Stryj ten uważał, że mówienie „kalosze“, „fryzjer“ i „indyczka“ jest niebezpiecznem i upadek polszczyzny zapowiadającem nowinkarstwem, a w używaniu przez młodzież tych językowych nowotworów widział niebezpieczne tendencje rewolucyjne! Podobne różnice od pokolenia do pokolenia możemy zaobserwować też w gwarze. Jest wiele wyrażeń używanych jeszcze przez starych chłopów, a zarzuconych przez młodzież, i nadwrót, wiele nowości językowych, wprowadzonych przez młodzież. Jest to normalny sposób przeobrażenia się każdego języka, tą drogą przekształcał się on przez bieg wieków. Język polski na ogół mało się na przestrzeni ostatnich wieków zmienił. Język 16-go i 17-go wieku jest dla nas doskonale zrozumiały, podczas gdy np. język francuski czy niemiecki z 16-go wieku przedstawia ogromne z językiem współczesnym różnice. A tak jak historycznie jest język polski dość jednolity „regionalnie“. Gwara różnych okolic Polski jest dla każdego doskonale zrozumiała, podczas gdy w krajach zachodnich narzecza różnych okolic stanowią prawie że inny język.

Zresztą wiele różne wyrażenia gwarowe są to po prostu słowa staropolskie, w dialekcie inteligenckim już narzucone. Tak rzecz się ma zwłaszcza w gwarze wielkopolskiej.

Wydaje mi się zresztą, że w zagadnieniu gwary możnaby rozróżnić dwa momenty: moment czysto fonetyczny i moment, który nazwałbym „wyrażeniowy“. „Moment fonetyczny“ są to wszelkiego rodzaju mazurzenia, przydechy, różne słowa, które od słów inteligenckich różnią się jedynie brzmieniem i pewną niedokładnością gramatyczną. Zaznaczałem już kiedyś, że jeśli chodzi o tę stronę gwary wielką trudnością jest brak odpowiednich znaków pisarskich dla oddania różnych tonów i półtonów, nieznanych w języku literackim, a które często są także zabytkami dawnej polszczyzny i dawnej pisowni. Ta strona gwary, mam wrażenie, zaniknie najprędzej, zanika każdego dnia w miarę szerzenia się oświaty i w miarę zacieśniania się stosunków między chłopem a sferami inteligenckimi. Ona też bywa często w gwarze pisanej przesadzana, do tego stopnia, że czytelnik, który świetnie rozumie chłopską mowę, nie może zrozumieć tego samego języka w druku.

Natomiast zupełnie inaczej ma się rzecz ze stroną, którą nazwałam „wyrażeniową“. Gwara bowiem polega nietylko na odmiennem brzmieniu niektórych samogłosek i na wykoślawianiu pewnych form gramatycznych. Polega — i to w dużej mierze — na używaniu specjalnych wyrażeń, specjalnych słów i zwrotów mowy. I ta strona gwary wydaje mi się o wiele cenniejsza i o wiele ciekawsza. Nie jest bowiem jedynie niedokładnością gramatyczną, lub swoistością wymowy, lecz jest wyrazem pewnych specjalnych nastawień psychologicznych, pewnych pojęć i pewnego odrębnego toku myśli.

Aby wytłumaczyć o co mi chodzi użyję przykładu z artykułu Artura Sandauera („O literaturze gwarowej“, „Wieś“ 6 stycznia br.) Sandauer w swym, jak zwykle inteligentnym i pełnym zdrowego sensu artykule, przytaczając szereg słów niepotrzebnie używanych w „wydaniu“ gwarowem, przytacza także słowo „pomyślunek“ użyte — jego zdaniem — niepotrzebnie zamiast słowo „myślenie“. Otóż właśnie :„myślenie“ a „pomyślunek“ to nie całkiem to samo. Tu zachodzi nietylko różnica gramatyczna, zachodzi i różnica pojęciowa. Może zresztą nie musi się mówić „pomyślunek“, można powiedzieć i „pomyślenie“, ja np. w tej właśnie formie znam to wyrażenie z języka chłopskiego. Chłop mówi nieraz: „ten a ten ma dobre pomyślenie“. To jest wyrażenie doskonałe i ma pewien inny odcień znaczeniowy niż powiedzieć, że ktoś rozsądnie myśli. Tej różnicy nie należy zatracać. Ma ona swoje uzasadnienie myślowe i znaczeniowe.

Kazimierz Budzyk w artykule „Lekkomyślna dyskusja na poważny temat“ („Wieś“ 6 stycznia br.) mówi, że gwara jest od języka inteligenckiego uboższa. Nie powiedziałbym tego. Może tak jest w zakresie pojęć abstrakcyjnych, ale jeżeli chodzi o cały szereg spraw praktycznych, o sprawy złączone z życiem wsi, z rolnictwem, z przyrodą jest w wielu wypadkach właśnie bogatsza.

Dla mieszczucha wszystko, co się wiosną na roli zieleni jest zbożem. Nie rozróżnia pszenicy od owsa. W podobny sposób nie rozróżnia różnych stanów pogody, gatunków deszczu i wiatru. Chłop ma tu język o wiele bardziej zróżniczkowany, a zatem o wiele ściślejszy. Deszcz np. jest dla niego zależnie od gatunku i „psotą“ i „lejbą“, i „siompowicą“ i „mokwą“ i „mraką“. Na pewien gatunek wiatru wiosennego mówią chłopi w miechowskiem „wielgie powietrze“. I choć nawet „wielgie“ zamieni się na „wielkie“, wyrażenie pozostanie nietylko piękne, ale i nezastąpione. Pewien rodzaj lekkiej wilgoci wiosennej określają chłopi mówiąc, że „powietrze jest jak wual“. W moich stronach rodzinnych, w krośnieńskiem, mówi chłop, gdy zanosiło się na odwilż, że „podśwituje na węgierce“. I kierunek południowego wiatru i rozjaśnienie nieba były zawarte w tem lapidarnem powiedzeniu meteorologicznem.

A np. weźmy słowo „gadzina“, które jak wiadomo oznacza tę co w inteligenckim języku określa się przez „inwentarz żywy“. Naprzód „gadzina“ wyraża tę samą rzecz w jednem słowie, co jest zawsze korzystniejsze, powtóre „inwentarz żywy“ pachnie zanadto kancelarią rejentalną, a po trzecie, co najważniejsze, ma znowu lekką, ale istotną różnicę znaczeniową, doskonale wyczuwalną dla każdego, który miał cokolwiek do czynienia z gospodarstwem wiejskiem.

Nie mogę bez końca mnożyć cytatów, chcę tylko wskazać, że wielu artystów, tak malarzy jak i pisarzy, mogłoby się uczyć od chłopa ścisłości wyrażania w oddawaniu spraw i rzeczy złączonych z życiem wsi i z rolnictwem, mogłoby się od niego uczyć większej ścisłości w oddawaniu realiów życia w tych dziedzinach.

W tej dziedzinie gwara jest ciągle młoda i twórcza. Wieś urabia sobie ciągle od nowa różne wyrażenia i słowa, nie znajdując w obiegowym języku wyrażeń dla oddania tego, co chce powiedzieć. Słowotwórstwo jest tu łatwiejsze i częstsze niż w języku inteligenckim, bo nie zna żadnych teoretycznych i gramatycznych ograniczeń, nie trzyma się usankcjonowanych form. Przytem mam wrażenie, że chłop odznacza się w tej dziedzinie ogromnym zmysłem językowym. Często słyszymy słowo lub wyrażenie, przedtem nam nie znane, a każde jest od razu doskonale zrozumiałe i zawsze czuje się, że trafia w jądro sprawy. Jest przytem i bardzo pożyteczne. Inteligent, który dużo z chłopami przestaje i rozmawia, przyswaja sobie łatwo i chętnie jego wyrażenia i powiedzenia. Często wprost już nie umie się bez nich obejść. Używając ich w rozmowie bierze je jeszcze coprawda często w „intonacyjny cudzysłów“, aby zaznaczyć, iż wie, że są to słowa gwarowe, bez obiegu w języku inteligenckim, ale jednak posługuje się nimi dla wyrażenia pewnych rzeczy z tą ścisłością i dosadnością w dialekcie kulturalnym niewyrażalnych.

I ta właśnie strona gwary, strona wyrażeniowa, wydaje mi się cennym jej wkładem w dorobek literacki. Tu ma zupełną rację Kazimierz Budzyk mówiąc, że gwara jest zjawiskiem historycznem, które ma i powinno mieć swoją wagę w całokształcie naszej kultury.

Tak więc myślę, że nawet gdy się nie będzie pielęgnować mazurzeń i przydechów, gdy się będzie pisać „okno“ a nie „łokno“, pójdź“ a nie „pódź“, gwara wniesie ogromne bogactwo w słownictwo literackie. Ale nie będzie to wzbogacenie jedynie mechaniczne. Wzbogacenie słownictwa będzie tu zjawiskiem wtórnem, będzie koniecznem i nieuniknionem następstwem wniesienia przez chłopów nowych i świeżych pojęć i zrozumień psychologicznych, myślowych i życiowych. Będzie właśnie wniesieniem w literaturę nowych i żywych „pomyślunków“.

*Zofia Starowieyska - Morstinowa*

LESŁAW M. BARTELSKI

## Siedem dni

**Ziemia lepko spryskana dniem otworzyła niebo,**
**kiedy anioł w wieńcu płomieni na miasto spadł,**
**i huczały gromy i łamały się w biegu**
**pociski dział. Nie rejestrowano jeszcze wtedy strat.**

**Dzień drugi także ogniem się otworzył**
**i sypał czadem i śmiercią i rozpinał w zielonych liściach**
**granice czasu: życie. Na rudym koniu w płomieni morze**
**oznajmiono jeźdźca drugiego przyjście.**

**Wtedy padł Zamek, który wyniośle trwał**
**nad miastem i wieżą w chmury strzelał.**
**Nie było już Prezydenta, tylko się orzeł do lotu rwał,**
**ludzie chodzili ulicami, była zwyczajna niedziela.**

**Nie poznawano miasta. Tam, gdzie jeszcze wczoraj**
**tętniło życie ulicą pełną kolorów i barw —**
**twarze szarości, z których smutek wyciekł**
**nie trwogą i boleścią, ani pieśnią skarg**

**ani załamywaniem rąk. A tylko zaciśnięciem pięści,**
**które nieruchomiały rosnąc w wielkie drzewa.**
**Pociski obsypywały miasto, dokładniej i częściej,**
**a wiatr z nad Wisły o odwrocie śpiewał.**

**Dzień czwarty kopał krzyże na placach i skwerach,**
**już liście uschły w pożółkniałe blachy,**
**mówiono szeptem o walce i bohaterach,**
**nie było w głów pochyleniu znużenia ni strachu.**

**A jednak w dniu piątym ptaki złowróżbne**
**lot obniżając zrzuciły swój śmiercionośny jad,**
**trysnął płomieni prąd, ludzie rozbiegli się jak podróżni,**
**niejeden z żołnierzy na posterunku padł.**

**Głód w dniu szóstym zacisnął gardła,**
**spił nienawiścią i kazał obelgi miotać,**
**w modlitwach była prośba, nie było skargi,**
**modlitw słuchał nie Bóg, ale Wotan.**

**I tak dzień siódmy przyniósł odpoczynek,**
**nie pytano kto zginął, kto zwyciężył nawet,**
**wychodzili ludzie ku polom zielonym, przez miasta, ruiny,**
**i szukali ziemniaków lub spalonej trawy.**

**Groby porosły ciszą, krzyże wypalone —**
**przez ulice miasta przeciągał szyk pogan,**
**nie było pokonanych, choć zniszczono Zamek!**
**Boże, zbaw miasto od wroga.**

### LUD ZAWSZE BĘDZIE MÓWIŁ GWARĄ

Nie chcę polemizować z wywodami Józefa Pogana i Antoniego Urbana, ogłoszonymi we „WSI“, gdyż odpowiedź moja przerosłaby ramy zwykłego artykułu. — Jest jedno, co mnie na wrześniowym zjeździe pisarzy ludowych w Warszawie bardzo boleśnie dotknęło, a co również przebija z wypowiedzi chłopów o swoim własnym języku potocznym. Bolesnem jest to, że w dyskusjach, prowadzonych przez ludzi ze wsi, owija się w bawełnę to, co powinno być jasno i wyraźnie powiedziane: Chłop a z nim nasz pisarz ludowy niejednokrotnie wstydzą się swojej gwary i istnienie jej uważają za równoznaczne z upośledzeniem społecznem wsi, z ciemnotą i zaniedbaniem kulturalnem. A są to przecież pojęcia fałszywe, jak fałszywym jest kompleks niższości u chłopa i jego wykształconych synów. — Kto jak to, ale właśnie każdy pisarz ludowy powinien wiedzieć o tem, czem jest gwara dla języka całego narodu, dla języka, który ma za sobą wielowiekową tradycję kulturalną i wielki szlak rozwojowy, powinien sam walczyć o honorowe miejsce dla pięknej, nieskażonej mowy naszych przodków, dla tych krystalicznie czystych źródeł polskiego języka.

Czy gwara zanika?

Język literacki w swoim rozwoju wybiega daleko naprzód ponad wszelkie uwarstwienia dialektologiczne, a równocześnie, jakby wielkim płaszczem nakrywa wszystkie dzielnice zasięgu polskiej mowy, lecz nawet przy najwyższym poziomie oświaty w całym kraju nie byłby w stanie w każdym indywiduum używającym polskiej mowy przygasić przyrodzonych predyspozycyj do tworzenia własnych określeń, wyrażeń a nawet słów, do posługiwania się ulubionymi „powiedzonkami“. Język bowiem jest własnością całego narodu, a równocześnie własnością prywatną każdego poszczególnego obywatela. Język literacki poszedł naprzód, a pewien starszy pan wciąż jeszcze mówi i pisze „prosiemy“, „krojemy“ i t.p. I tego mu nikt nie zabroni. Polska Akademia Umiejętności już dawno skreśliła pewne wyrazy jako przeżytki, a przecież nieuczony sekretarz z Górna lub Snochowic dotąd uparcie pisze w swoich mądrych wypracowaniach „takowy“, a za nim powtarzają to słowo ci dla których on jest autorytetem.

Z tych opóźnień w przyswajaniu sobie różnych nowości dla języka niezawsze dodatnich, nie należy wysnuwać fałszywych wniosków. Gdyby uwarstwowienia dialektologiczne, równoległe z nawarstwieniem społecznem, wynikały z opóźnionego rozwoju u dołu, to obecna gwara ludowa z okolic Zwolenia powinna być językiem Jana Kochanowskiego, a gwara spod Nagłowic przypominałaby nam polszczyznę Mikołaja Reya. A przecież tak nie jest i nie może być.

Polski język literacki rozwijał się równolegle z innymi językami europejskimi pod przemożnym wpływem łaciny i języków w danej epoce historycznej wyżej stojących (czeski, niemiecki, włoski, francuski), ponadto został ujęty w dyscyplinę gramatyki. Język potoczny inteligencji poza drobnemi odchyleniami dzielnicowemi posiada jeszcze formy gramatycznie poprawne, lecz myliłby się ten, ktoby sądził, że gwara małomieszczańska tej lub innej dzielnicy dałaby się „zaszufladkować" w gramatykę języka literackiego; jeszcze trudniej poszłoby nam to z polskiemi gwarami ludowemi, które rozwijały się przecież zupełnie swobodnie, niezależnie, nie krępowane ani gramatyką ani pisownią, a kierowane jedynie tylko zdrową logiką chłopa, jego instynktem i intuicyjnem wyczuciem poprawności językowej, bardzo żywej u ludu. A zatem gwary ludowe nie są jakimiś ostatnimi kręgami w ogonie języka literackiego, lecz nie podniesionymi do formy pisanej samoistnymi językami, tworzącymi organiczną podbudowę języka literackiego, bez której ten umarłby na uwiąd starczy, bo gwary są śpichlerzem dla całego języka. Jeżeli w swoim czasie sięgnąłem do gwary ludowej, to przedewszyskiem dlatego, by wykazać, że jest ona pełnowartościowem tworzywem dla literatów i gdyby w jakimś kataklizmie przepadł obecny nasz język literacki, to od każdej polskiej gwary ludowej dałoby się wyprowadzić odbudowę nowego ogólnopolskiego języka pisanego.

Gwary nie usunie ani szkoła ujednolicona dla całego kraju, ani książka, pisana najwytworniejszą polszczyzną literacką. Oświata może bardzo przeobrazić nasze dialekty ludowe, — to pewne, bo przeobrazi duszę chłopa. Może przyczynić się do zaniku mazurzenia, może wprowadzić modę „szadzenia" i „czedzenia", którą to chorobę przechodzi często mowa małomieszczańska, ale nasz chłop nie wyrzeknie się nigdy swego odwiecznego przywileju formowania swego języka według własnych upodobań. Wszak na Śląsku Cieszyńskim, gdzie od dawna stan czytelnictwa stoi wysoko, gdzie mieszka sporo chłopskich bibliofilów, ludzie czytają arcydzieła polskiej literatury swoim pięknym dialektem. Graficzny obraz języka nie ma żadnego wpływu na tradycyjną wymowę miejscową.

Sądząc z pozorów, możnaby mniemać, że gwara tu i owdzie „utrzymuje się" tylko i to w ten sposób, że tylko starzy ludzie używają pewnych przestarzałych jak oni wyrazów, a młodzież mówi już inaczej i „poprawniej". Jest to tylko dowód, że gwara jest też organizmem żywym, w którym niektóre składniki zanikają, aby ustąpić miejsca nowym, świeższym bądź modniejszym. Ale przecież język młodzieży wiejskiej to też jeszcze gwara! To właśnie dowód, że każda gwara jest samoistnym językiem. A gwarą ludową, językiem, który nie posiada gramatyki, nie da się kierować. Ale gwary nie wolno nam zaniedbywać i lekceważyć, jak wogóle nie wolno nam zaniedbywać ludu i jego kultury. A opiekę naszą nad gwarą ludową powinniśmy zacząć od tego, by nasz własny język literacki i język potoczny inteligencji oczyścić z wszelkich niechlujnych naleciałości i strzec, by one nie doszły do wsi. Od czasu silnego rozrostu prasy brukowej w okresie międzywojennym, popisującej się swoim Wiechem i jego naśladowcami, przy ogłupiającym wpływie „Wesołej Fali" ze Lwowa a „Ber i bojek" Ligonia z Katowic brudu językowego narosło u nas bardzo wiele. Niema dzisiaj takiego zakątka kraju, gdzieby nie używano całkiem serio takich wyrażeń jak „znakiem tego", „fajno", „fest" i t.p. jako już wrośniętych w organizm języka we wszystkich jego warstwach. Takie plugastwo powinno nas bardziej smucić, niż to, że lud tam a tam mówi: „Sed bez most przez copki", bo z punktu widzenia czystości języka zdanie to jest gwarowo zupełnie poprawne, choć może budzić szyderczy uśmiech na twarzy mieszczucha, czem mówiący tak nie powinien się przejmować. Ludzie, których tak razi, że chłop mówi „bez" zamiast „przez", nie powinni wypowiadać „pokrzywa" lecz „koprzywa", albo też postarać się, by nazwę „Koprzywnica" zmieniono na „Pokrzywnica".

Można być najzupełniej spokojnym o to, że niezależnie od wypowiadanych obecnie poglądów na gwarę, język ludowy będzie istniał tak długo jak stan chłopski. I pocieszmy się jeszcze tem, że najwieksi twórcy, poeci i literaci, ci właśnie, którzy najsilniej wpływają na rozwój języka literackiego, będą zawsze sięgać do gwary, jak do najzasobniejszego śpichlerza, nie liczac się wcale z gustem snobów, pieknoduchów i kujonów słownika obcych wyrazów. Ludzie pióra, którzy przygotowywali się do swego zawodu od poznania literackiego tworzywa w podobny sposób, jak architekt uczy się technologii materiałów budowlanych nie pogardzą nigdy językiem ludowym, choćby to nawet drażniło samych chłopów, albo gdyby mieli obrazić się na nich pisarze, jadący jeszcze na wózku szlachetczyzny, a konjunkturalnie używających tytułu „ludowy" chłopski" i t.p

*Jan Al. Zaremba.*

## REDAKCJA TYGODNIKA „WIEŚ" OGŁASZA

# KONKURS

### NA TEMAT:

## „JAKIEJ POWIEŚCI CHCE DZISIEJSZA WIEŚ?"

### Wprowadzenie.

*Literatura współczesna daje się wyprzedzać życiu. Toczą się poważne i ciekawe dyskusje nad zagadnieniami nowych rodzajów i form twórczości, ale daremnie czekamy na książki, które byłyby wypełnieniem wysuwanych w tych dyskusjach postulatów.*

*Wiele mówi się obecnie o tym, że pisarz powinien wypełnić zamówienie społeczne, nikt jednak nie próbował dotąd ustalić, jak wygląda owo zamówienie od strony społeczeństwa. Próbą w tym kierunku jest właśnie nasz konkurs.*

*Nie chodzi nam w tym wypadku o opinię ludzi pióra. Chcemy, ażeby tym razem czytelnik przedłożył pisarzom swoje propozycje, projekty, życzenia. Być może, że odpowiedzi, jakie napłyną z terenu wiejskiego, choćby pośrednio przyczynią się do uświadomienia sobie przez pisarzy, czego oczekuje od nich społeczeństwo, a tym samym przygotują drogę książce, która byłaby na miarę naszych czasów.*

*Mamy na wsi wiele odmiennych środowisk kulturalnych, to też można przewidywać, że i odpowiedzi konkursowe wysuną życzenia bardzo różnorodne, że ujawni się zapotrzebowanie na powieści o różnych funkcjach społecznych. Konkurs nasz ma charakter ankiety, która po pierwsze: odsłoni rodzaje literackiego zapotrzebowania na prozę powieściową w kołach czytelników wiejskich, po drugie: wskaże czy istnieje pokoleniowa tęsknota za jakimś wspólnym wyraźnie wyróżniającym się typem powieści?*

### Warunki konkursu.

*I. Uczestniczyć w konkursie mogą wszyscy zainteresowani.*

*II. Do odpowiedzi należy dołączyć życiorys, uwzględniający następujące dane:*
*1) data urodzenia i miejsce zamieszkania,*
*2) środowisko, rodzaj pracy, warunki materialne,*
*3) wykształcenie,*
*4) zainteresowania literackie (czy dużo dotychczas czytał, jakiego rodzaju książki, co z przeczytanych książek najbardziej mu się podobało).*
*Bez życiorysu odpowiedź nie będzie rozpatrywana w ramach konkursu.*

*III. Nadsyłać należy odpowiedzi i życiorysy na adres Redakcji tyg. „Wieś", Łódź, ul. Piotrkowska 96.*

*IV. Ostatni termin wysłania odpowiedzi upływa z dniem 1 kwietnia 1946 r.*

# Jak należy pisać odpowiedź?

(Uwagi poniższe nie obowiązują odpowiadającego, podane są tylko w celu ułatwienia mu zorientowania się w całokształcie zagadnienia).

I. Można podać propozycję całej powieści lub jej fragmentów albo też wysunąć zagadnienia i motywy, jakie zdaniem biorącego udział w konkursie powinny być w powieści współczesnej uwzględnione.

II. Biorący udział w konkursie powinni w pierwszym rzędzie zdać sobie sprawę z tego, za jakim opowiadają się typem powieści, a więc:

1) czy chcą wyłącznie powieści opisującej życie wsi, czy również życie innych środowisk?

2) czy chcą powieści historycznej, czy współczesnej?

3) czy chcą powieści, dającej obraz rzeczywistości — czy powieści mniej lub więcej zmyślonej?

III. Po tym rozróżnieniu odpowiadający będą już mogli bliżej określić, o co im idzie, albo:

1) o współczesną powieść realistyczną o wsi w typie reportażu, czy powieści publicystycznej, politycznej, społecznej, psychologicznej, dokumentarnej, pamiętnikarsko - dziennikowej, dydaktycznej: dla młodzieży i dzieci itd., naukowo-informacyjnej np. o etnografii, systemach gospodarki w różnych dzielnicach, odmianach flory i fauny itd.

2) o współczesną powieść realistyczną z innych środowisk.

Tu przy zachowaniu wyżej wymienionych rodzajów powieści może wskazywać odpowiadający bądź to na inne środowiska (klasy) polskie, bądź inne narody włącznie z dalekimi krajami (powieść egzotyczna!).

W tym typie powieści albo będzie szło odpowiadającemu wyłącznie o poznanie innych środowisk albo o poznanie zachowania się w innych środowiskach chłopa polskiego czy Polaka w ogóle i stosunku do niego tych środowisk.

IV. W powieściach historycznych — rozróżnienie podobne:

1) albo wskaże się tu na realistyczną powieść historyczną o wsi — wybór okresu padnie bądź to na najdawniejsze czasy prasłowiańskie, bądź na któryś z fragmentów dawnej historii chłopa pańszczyźnianego (na wsi czy w jakimkolwiek innym środowisku) bądź na okres ucisku sanacyjnego, bądź wreszcie na życie wsi w okresie okupacji.

2) albo wskaże się na realistyczną powieść historyczną innych środowisk z uwzględnieniem czy bez uwzględnienia sytuacji chłopa polskiego.

V. W powieściach zmyślonych należy zdać sobie sprawę ze stopnia i rodzaju zmyślenia.

1) Czy chcą powieści jak gdyby rzeczywistej, np. w rodzaju Rodziewiczówny, Mniszkówny, gdzie prawdopodobieństwo zostaje zniszczone bądź to przez zbytnią idealizację bohaterów, bądź to przez zbyt sensacyjny przebieg wydarzeń.

Czy idzie im zatem o typ powieści **kompensacyjnej** wyrównującej braki życiowe przez opis tak **idealnych stosunków etycznych,** że one wprawdzie zaspakajają najniedorzeczniejsze nawet marzenia, ale nie są wzorami do praktycznego naśladowania. Bo właśnie podobnie jak religia, która obiecuje niebo po śmierci, godząc człowieka z ciężkim życiem, jakie wiedzie, raczy go premią pocieszenia tylko w oderwanym od rzeczywistości marzeniu.

2) Bliska temu typowi jest powieść dydaktyczno-wychowawcza wskazująca na cechy i wartości, jakich posiadanie przez ludzi zapewniłoby światu szczęście i pokój. Ale jeśli odpowiadający w oderwaniu od warunków społecznych będzie chciał taką serię cnót w swoim bohaterze wyhodować, będzie to właśnie typ powieści zmyślonej (Dewajtis — Rodziewiczówna).

3) Biorący udział w konkursie może chcieć już wyraźnie powieści **utopii** — idealnego obrazu przyszłej ludzkości, czy wsi. Wtedy sama powieść jest projektem zgodnym z marzeniem ale nie zgodnym z współczesnymi możliwościami,

4) Można tu jeszcze wskazać powieść: **fantazję naukową** (wyprawy na Marsa, chemiczna sztuczna produkcja ludzi, użycie energii atomowej itp.).

5) powieść sensacyjną: np. kryminalną, egzotyczną.

6) powieści-bajki, legendy dla dzieci.

Przy składaniu życzeń i projektów w odniesieniu do fragmentów powieści należy zwrócić w szczególności uwagę na następujące czynniki:

VI. Jakich **zagadnień** pragnie odpowiadający w powieści? Może np. żądać przedstawienia rozwoju oświaty, jakiej? rozwoju spółdzielczości, jakiej i w jaki sposób w obecnych warunkach? — rozwoju przemysłu, rozwoju życia organizacyjnego, instytucji użyteczności publicznych, instytucji kulturalnych, przemian obyczajowości, w światopoglądzie, w technice i organizacji pracy rolniczej itp.).

VII. Jacy powinni być bohaterowie powieści? Z jakich środowisk, o jakich cechach charakteru i jakich rodzajach uzdolnień, w jakim stosunku do życia prywatnego, do społecznego, typy ujemne (w czym?) dodatnie (przez co?) itd.

VIII. Jakich życzy sobie metod opracowania literackiego powieści?

1) Odpowiedź częściowa na to pytanie mieści się już w omówieniu typów powieści.

2) W odniesieniu do powieści realistycznej można żądać np. sumienności w poznaniu i zebraniu odpowiedniego materiału rzeczowego, żądać np. takiej formy, w której powieść opiera się o wyraźnie określonego opowiadacza, który mówi tylko tyle o bohaterach ile widzi, rozumie i domyśla się a nie „wszystko" jak sam Pan Bóg, można żądać np. powieści z dokumentami: listami, sprawozdaniami, fotografiami itd., żądać np. co do języka, aby był ścisły i jasny, nie topił czytelnika w poetycznościach, które zatracają prawdziwość i odrębność wypowiedzi bohaterów, sytuacyj i zdarzeń.

IX. Jaka winna być fabuła (przebieg wypadków). Przez jakie środowiska, miejsca i sytuacje powinna przebiegać akcja powieści, jaki rodzaj wydarzeń i faktów winien tu być opisany itd.

X. Jakie tło społeczno-obyczajowe? Obraz środowisk, z których bohater wychodzi, w których się obraca, ich stosunek do poczynań bohatera, opory, trudności, pomyślne warunki, formy ich nowego życia, opinia publiczna, stopień wiedzy środowiska itd.

XI. Jak sobie wyobrażają życiorys autora takiej powieści?

Ciekawe byłoby, aby od biorącego udział w konkursie dowiedzieć się jak sobie wyobraża autora tej idealnej powieści a w szczególności jak sobie wyobraża przygotowania autora do napisania powieści.

## Nagrody:

**I. 5.000.—zł.**
**II. 4.000.— „**
**III. 3.000.— „**
**oraz 20 powieści dla 20-tu wyróżnionych w konkursie**

**Motywy oceny.**

Przy rozdziale nagród szczególna uwaga zwrócona będzie:

a) na konkretność i bogactwo sformułowania propozycji,

b) na jej doniosłość społeczną,

c) na mocne uwydatnienie potrzeb środowiska,

d) na praktyczną przydatność takiej propozycji dla pisarza.

**Skład komisji konkursu**

Skład komisji oceniającej powołany przez redakcję „Wsi" po napłynięciu odpowiedzi spośród grona uczonych, pisarzy i działaczy społecznych zostanie ogłoszony w kwietniu.

*

Apelujemy do czytelników naszych a przez nich do wszystkich, aby w naszym konkursie wzięli jak najliczniejszy udział. Niech pisarze wiedzą, czego oczekuje od nich wieś. Określmy im zamówienie społeczne!

ALEKSANDER JUNOSZA-GZOWSKI.

# Przodownik Siuder

## (fragment powieści „Diabeł w Anielowie")

W święta Trzech Króli, Przodownik Siuder z Grabowa zdecydował odwiedzić swego kuma w Anielowie Edwarda Kublika, gospodarza małorolnego, lecz sprytnego sklepikarza, któremu obecnie bardzo dobrze się powodziło.

Pan Siuder, czterdziestoletni, wąsaty, barczysty i trochę pęczasty człowiek, który niegdyś w wojsku polskim był żandarmem polowym, lubił dobrze zjeść i wypić, a jeszcze więcej lubił pogawędzić ze swą szerokobiodrą i „krasnolicą" kumą, przybył względnie wcześnie, a mianowicie, gdy Kublikowie dopiero wrócili z sumy.

Sam Siuder do kościoła i w dawne czasy prawie nie uczęszczał, a teraz, gdy Niemcy krzywym okiem spoglądali na wszystkich pobożnych urzędników, a swoim katolikom zabronili nawet chodzenia do kościołów w Polsce, zupełnie zaniechał wszystkich praktyk religijnych.

Gościa spotkano bardzo serdecznie i odrazu poproszono do stołu, na którym niebawem ukazały się pękate gąsiory wódek gatunkowych i nalewek oraz wszelkie smaczne zakąski.

*rys. W. Stańczykowski*

I Siuder i Kublik mogli wypić bardzo dużo i kompletnie pijani bywali bardzo rzadko. Jednak „policjant niemiecki" (tak pan przodownik Siuder czasami siebie nazywał) po wypiciu kilku kolejek niebawem się „rozkrochmalił", jął poklepywać kumę po plecach, a gdy mąż się odwracał, to i po innej części ciała. Wkrótce też przeszedł na tematy „polityczne i społeczne".

— Tak, moi drodzy państwo, minął już ten czas, gdyśmy policjantami byli „mali ludzie". Kiedyś to — za polskich czasów — „pan prokurator", „pan sędzia", „pan poseł", „pan redaktor". Przy tym skacz, temu się nie narażaj, tamtemu honory oddawaj. A teraz to rozumiem, że ja władza jestem, ja, policjant, przodownik, sierżant niemiecki. Nie podobasz mi się, podejrzany jesteś — złoją skórę jak się patrzy, a spróbuj zaskarżyć, to ci jeszcze dołożą, lub do obozu karnego wyślą. Panowie prokuratorzy i panowie sędziowie zmaleli odrazu. Co teraz sędzia znaczy? Nic! Zechcę sprawę umorzyć — umorzę, zechcę napisać akt oskarżenia — napiszę, a jeśli mi sędzia kogoś uniewinni, to ja sam sobie dam radę: wezmę gościa uniewinnionego na posterunek i tak mu dam w „mamę", że on przez trzy lata pamiętać będzie.

— Cha, cha, cha! „W mamę". Nie ma dnia, żeby czyjaś „mama" u mnie na ławce goła nie leżała. Czasami nawet po dwie w kolejce leżą...

— Cha, cha, cha! hi, hi, hi, hi! Na baty czekają? Cha, cha, cha! Do—osko—nale! Chu, chu, chu!

—I Niemcy to lubią, proszę państwa! Jak który policjant ma za miękkie serce, to na niego źle patrzą. To — powiadają —baba, nie policjant.

— No, a czy zwyciężą ci Niemcy? — spytała nieśmiało kuma.

— Pewno, że zwyciężą! Któż ich ma pobić? Francuzi? Hola, wolne żarty! Że się raz im udało, to tylko dlatego, że Rosja pomagała — oświadczył przodownik, ukrajawszy sobie duży kawał salcesonu.

— A Anglia? — spytał Kublik.

— Co tam Anglia? Jaki z niej wojak! To żydzi, handlarze i nic więcej. Umie tylko innych do walki wysyłać, ale nie ma już głupich. Udało się jej tylko Polskę nabrać, nic więcej.

— O tak, udało się! Co z nami teraz będzie, kumie? — spytała Kublikowa.

— Wiadomo co — dobrze będzie. Jeżeli kto handluje, handluj na zdrowie, tylko żebyś patent miał i podatki akuratnie płacił; jeżeli fach jaki posiadasz, powiedzmy majstrem jesteś, proszę bardzo, otwieraj zakład i prowadź solidny interes. Dostałeś człowieku koncesję wódczaną, lub tytoniową, magnatem się zrobisz. A nic nie robisz gagatku, szwindlujesz, lub bąki zbijasz, za karę cię wezmę i do Prus na robotę pojedziesz. Oto co z nami będzie!

— Cóż, to nieźle będzie, tylko żeby tę koncesję otrzymać. Już trzeci tydzień, kumie przodowniku staramy się o koncesję wódczaną i — nic. Ubiega nas Walenty Kupczyk, wygnaniec — pożalił się gospodarz domu.

— Kupczyk? Jaki Kupczyk?

— Z poznańskiego. Był tam ponoć masarzem, po niemiecku szwargocze, z żandarmami hula — informowała Kublikowa.

— Pomyślę o tym. Dlaczego mi odrazu nie donieśliście? Spytał Siuder.

— Nie chcieliśmy fatygować kuma — rzekł Kublik.

— Dobrze, pomyślę. Zresztą powiem wam szczerze, kochani moi: po co wam nawet ta koncesja? Dopóki przodownik Siuder na Garbowie siedzi, sprzedawajcie sobie wódkę, ile wam żywnie się podoba. Róbcie nawet „samogon" — włos wam z głowy nie spadnie. Teraz my wszystko możemy — chłepił się Siuder.

— Dziękujemy panu kumowi, bardzo dziękujemy — odezwała się Kublikowa. — Uważaliśmy jednak, że lepiej jednak mieć koncesję. Mąż mój chodził nawet do adwokata w tej sprawie...

— Do którego?

— Do Poniatowskiego...

— Teraz jest małoznaczący — orzekł Siuder. — Teraz tylko albo Niemiec potrzebny, albo volksdeutsch, albo policjant polski.

Korzystni też są niektórzy ziemianie, jeżeli *stosunki* z Niemcami utrzymują.

— A możeby tak tytoniową koncesyjkę, pomógłby nam kum wytrzasnąć — spytała Kublikowa. — My też staramy się o nią, lecz w tej sprawie ubiega nas Drelak z żoną. Oni starają się o hurtownię tytoniową.

— Który Drelak? — spytał Siuder.

— A ten co we więzieniu tyle lat siedział. Wrócił niedawno i sklep chce zakładać, o kalucję stara się. On nie może, bo praw pozbawion, lecz żona jego zamierza coś zdobyć, a on tylko daje pieniądze. Skąd wziął te pieniądze — nie wiadomo. Ludziska różnie gadają.

— Poczekajcie, jaki to Derlak? Może Tomek? Ten bandyta, co? — pytał Siuder, mrugając swymi już nietrzeźwymi oczkami.

— On... Żyją teraz we trójkę: żona, mąż i kochanek — objaśnił Kublik.

— Ee, to z nimi zrobimy porządek. Zrobimy! — oświadczył Siuder, męczony już czkawką pijacką. — Jutro zatelefonuję do „kryminal policaj".

— Dobrze, kumie kochany, tylko żeby to nie wyszło od nas. Nie daj Boże, ludzie się o tym dowiedzą, sarkać będą. A przy naszym interesie nie należy mieć wrogów — rzekła Kublikowa.

— Za pozwoleniem, kumo... Ik, ik... Jestem niemieckim policjantem, czy nie jestem. Ik... Jeśli jestem policjantem, to... ik, ik... jestem człowiekiem głęboko poufnym, bo w naszym interesie, to przede wszystkim ik... poufność. Taak. Proszę mnie kumo nie uważać za chłystka, ta—ak... ik, ik...

— Ależ, co też kum mówi?Ktoby tam kuma chciał uważać za chłystka?! — żachnęła się gospodyni domu, a gospodarz nalał mu czym prędzej nową kolejkę wódki i podał świeżą szyneczkę.

Raczyli się tak do głębokiej nocy. Później Siuder położył się spać na kanapce, zaś gospodarz domu zasnął przy stole. Rankiem obudzili się, trochę wypili anyżówki, Siuder pojechał nakazaną przez sołtysa furmanką do Grabowa, zaś Kublik poszedł do sklepu.

„Policjant niemiecki", jak się niebawem pokazało, pomimo pijaństwa, dobrze sobie zapamiętał opowieść kuma o Tomku Drelaku.

— — — — — — — —

Józik, Michaś i Olek „dybali" przemytniczą dróżką leśną na stację kolejową. Każdy z nich dźwigał na sobie po trzydzieści kilo „rąbanki", zaś dwie dziewuchy anielowskie, do tego specjalnie wynajęte, idąc nieco z tyłu niosły po dwadzieścia kila słoniny. Mieli więc ze sobą sto trzydzieści kilo towaru. Do dźwigania ciężarów byli już przyzwyczajeni, a więc szli szybko, rozmawiając półgłosem.

Tak, wujek nasz wzbogacił się bardzo — mówił Olek, chłopiec barczysty, wysoki i dobrze zbudowany. A pije! A żre! Codziennie z Niemcami w knajpie, a rachunki pokrywa gmina.

— To znaczy — my... — dodał Józek.

— No bo też powiadają, że inaczej nie można teraz. Bez picia z Niemcami żadnego interesu obrobić nie można — rzekł Michaś...

— Sołtys nasz też dorabia się. Nową chałupę już wystawił, a jak wszystkie macherki *kuntyngacyjne* załatwi, to i stodołę sobie pobuduje — oświadczył Olek.

— Morda mu upasła się — uśmiechał się Michaś. — Zupełnie nie ten Dawidczyk, co był przed wojną.

— A „gminniacy" nasi jak podorabiali się teraz! — rzekł Józiek. Nasz sekretarz, garbowski, leopoldowski, to wszystko teraz wielcy panowie. Ich żony to nie wiedzą wprost co na siebie włożyć.

— I policja. O, ci dranie to się dorobili już majątków. Rabują ludność polską nie gorze' od Niemców — mruknął Michaś.

— Padają, że w naszej gminie znowu będzie posterunek policji — rzekł Olek.

— Potrzebny — jak piąte koło u wozu — powiedział Józik.

Gdy byli już niedaleko stacji, zupełnie niespodziewanie wyszedł zza krzaków uśmiechnięty grubas przodownik Siuder z małym rudawnym policjantem Mitkiem.

— Właśnie czekamy tu na panów geszefciarzy — oświadczył „pan sierżant", uśmiechając się chytrze.

*rys. W. Stańczykowski*

— Miło nam widzieć władzę najwyższą i to naszą polską, rodzimą — również uśmiechnął się Olek, przywódca kampanii przemytniczej.

— Ty mnie patriotyzmem oczy nie zalewaj, dawaj szmugiel, płać karę i „rypaj", cwaniaku z powrotem do swego Anielowa! — ryknął Siuder.

— Natychmiast, panie władzo, tylko, że kasjerem naszym jest Michaś Kublik, rodzony brat kuma pańskiego, to niech on już i płaci — odpowiedział spokojnie Olek.

— A, toś ty, Michałku? Nie poznałem... Dla ciebie będzie ulga. Od kuma nic bym nie wziął, a dla ciebie, jako że jesteś jego braciszkiem, zelżę trochę. Co to, rąbanka? Wy dacie po dziesięć kilo i po tysiąc złotych grzywny, a ty, braciszku, tylko 5 kilo i tylko pół tysiąca złotych — odrzekł Siuder.

— To nie mój towar tylko brata — spokojnie skłamał Kublik. — Może pan wszystko zabrać, to mnie nic nie obchodzi.

— Ta-ak? Skoro niesiesz towar brata, to zmykaj sobie, ale daj temu kapralowi, nie mnie, dwieście złotych — rozkazał Siuder.

— A wy — dodał po chwili — płacić jakem powiedział.

— Panie władzo, trza po katolicku, po możliwemu — zaczął przekonywać Olek. — Jeśli mamy dawać po dziesięć kilo i po tysiąc złotych, to nawet nic nie pozostanie i cały nasz zarobek diabli biorą. Lepiej zrobimy po kupiecku. Jest tu sześćdziesiąt kilo rąbanki, na kilo zarobimy, jeśli dowieziemy szczęśliwe, po dwadzieścia złotych, czyli razem tysiąc dwieście złotych. Bijmy po połowie, bo każdy żyć chce: po sześćset złotych. Panom sześćset za to, że nas złapali i nam sześćset, że my handlowali. Chyba dobrze, panie władzo?

— Co-o? Ach ty, łobuzie! A stracić raz, to ty nie chcesz? Oddawaj całe draniu, paskarzu! — ryczał Siuder.

— Za ciężko, panie władzo, nie donieście! Zgadzamy się oddać cały zarobek, ale pocóż polskiego kupca rozbierać do naga? — mówił Olek wyjmując pugilares.

— No, czort z tobą! tysiąc dwieście i po dwa kilo na dzisiejszą zagrychę, bo dobra „rąbanka" — zawyrokował ostatecznie Siuder.

— Ach, Boże! A tam żandarmi jeszcze zabiorą?! —westchnął Józek. Kublik zapłacił dwieście, Olek tysiąc dwieście, dali „policajom" „na oko" cztery kilo mięsa i chłopcy poszli dalej.

Ten Siuder to niebawem doczeka się — mruczał Michaś.

— Na wszystkich kolej przyjdzie! Pierwszy mu bebechy wypruję — szeptał Olek. — A dziewuchy nasze są mądre: Zobaczyły „policajów" z daleka i zręcznie dały nura. Spisały się lepiej od nas.

Istotnie, dziewuchy „dały nura" bardzo szczęśliwie, bo były już na stacji, w przepełnionej i zabrudzonej poczekalni.

Zapytawszy bufetowego o sytuację, Olek otrzymał trwożną odpowiedź: „dziś będą bardzo szukać i odbierać".

— Bufetowy — swój człowiek — pomógł „spółce Olkowej" umieścić towar w odpowiednim miejscu.

Rąbnąwszy sobie „po dwa głębsze" (dziewuchom dali tylko po kieliszku) Olek i jego towarzysze rozsypali się po peronie, ażeby zbadać sytuację. Pociąg spóźnił się na godzinę, trzech żandarmów już przyszło. Przystąpili niebawem do rewizji i nabrali cały wózek towaru. Baby skowyczały, niedorostki płakali. Żydek będący na usługach żandarmów, pędził z wózkiem na żandarmerię, aby wrócić za chwilę po nową porcję skonfiskowanego szmuglu. Olek i towarzysze jego zrozumieli, że żandarmeria potrzebuje dziś dużo towaru i że połów będzie obfity. Uplanowali więc, że z towarem ukażą się na peronie dopiero w ostatniej chwili, gdy zatrzyma się pociąg. Dziś każdy z nich wskoczy do innego wagonu, a dziewuchy pomogą przynieść i załadować towar. Pasażerów było dużo, ale „spółka Olkowa" jeszcze nie miała wypadku, żeby nie wsiąść do pociągu. Mają przecież dobre lekcje i duży spryt. Nie napróżno na tej stacji nazywają ich „królami szmuglu".

Gdy porządnie już napełniony pociąg zatrzymał się na stacji i gdy liczny, obdarty, zmęczony, zbiedzony, ale zarazem przebiegły i bezwzględny tłum rzucił się do pociągu, anielowska trójka szmuglerska wyskoczyła z kuchni bufetowego wraz z dziewuchami i pognała do różnych wagonów.

Popychając, obalając, odrzucając innych wskoczyli na stopnie, a potem przez drzwi i okna wdarli się do przepełnionych wagonów. Wsiedli, wepchali się, przepychali się po cudzych głowach i nogach i ulokowali się wraz z towarem, nie zważając na przekleństwa i protesty pasażerów.

Gdy chłopcy byli już w wagonach, dziewuchy — uśmiechnięte i zadowolone — pokiwały im grzecznie rączkę (pa, pa) i poszły wolnym krokiem do domu. Na peronie byli już tacy, którzy przed chwilą przyjechali, czyli wrócili ze szmuglu w innym kierunku. Młodzi, rośli chłopcy.

Zabiorą oni dziewuchy ze sobą, ugoszczę je w drodze wódką i kiełbasą, a potem nawet może pohulają z nimi w przydrożnym zagajniku.

*Kwiecień 1944 r.*
*w Sokołowie - garwolińskim.*

# O uspołecznienie sztuk plastycznych

Przeobrażenia społeczne, jakie dokonały się w Polsce, otwierają nowe horyzonty przed sztuką, a szczególnie przed sztukami plastycznymi. Nie było u nas nigdy (i w bardzo wielu krajach) takich warunków, które umożliwiłyby docieranie wytworów sztuki do szerokich mas i które wciągnęłyby te właśnie masy do współudziału w tworzeniu artystycznym.

Stwierdzić należy, że sztuka wtedy jedynie spełnia dobrze swą rolę społeczną krzewienia estetyki i zamiłowania do piękna, jeśli różnica w ilości jej wytwórców i odbiorców jest względnie niewielka. W przeciwieństwie do techniki — w historii sztuki nie ma wielkich rewolucji czy odkryć, zmieniających jej prawa, sztuka nie ma również właściwości wznoszenia się na takie wyżyny, których nie moglibyśmy wogóle przewidywać. Poziom artystyczny rzeźb starożytnych nie ustępuje najlepszym rzeźbom współczesnym — od czasów Fidiasza mógł się zmienić jedynie rodzaj materiału, technika obróbki, ujęcie tematu, styl— te wszystkie jednak zmiany nie stanowią o artyźmie, a tym mniej o jego stopniu. Jeśli więc mamy żądania w stosunku do sztuki, to nie tylko będzie nam chodzić o jej rewelacyjną jakość, lecz i o to, aby z jej wytworów korzystała jak największa ilość ludzi — o jej powszechność, o zdolność do zapładniania mas poczuciem piękna i estetyki, i o to również, aby w jej tworzeniu brały udział nie jednostki, a jak najliczniejsze talenty.

Owo upowszechnienie, **uspołecznienie** sztuk plastycznych mogło się stać w Polsce nie przez muzea, wystawy — nawet nie przez ich udostępnienie i zwielokrotnienie, i otwarcie jeszcze jednej szkoły artystycznej — musiały się dokonać takie przemiany społeczne, które zmieniłyby pozycję socjalną artysty, odbiorcy sztuki i jej mecenasa. Nowy ustrój Polski, w którym rola kapitału zmalała do minimum i w którym czynnik społeczny decyduje o zaspakajaniu potrzeb kulturalnych obywateli, stwarza właśnie te korzystne warunki dla uspołecznienia sztuk plastycznych. Możliwości te są jednocześnie już w tej chwili aktualnym i bardzo pilnym zadaniem, jakie ustrój demokratyczny musi wypełnić.

Która ze sztuk plastycznych z natury swej najbardziej nadaje się do uspołecznienia? W pierwszym rzędzie trzeba tu wymienić **rękodzielnictwo.** Dość wyczerpująco pisze o tej sprawie Karol Homolacs w n-rze styczniowym „Twórczości" w artykule zatytułowanym „Rola rzemiosła artystycznego w kulturze mas". W tym samym numerze Konrad Winkler omawia sprawę bytu artystów (artykuł: „Na drodze ku nowemu mecenatowi sztuki"). Zajęcie się tymi problemami przez pisma literackie i społeczne (sprawę bytu artystów poruszała również „Kuźnica") dowodzi z jednej strony aktualności tych zagadnień, a z drugiej braku ingerencji czynników do tego powołanych.

Homolacs stwierdza, że rękodzielnictwo było wytworem walki człowieka z przyrodą i stało się dla niego szkołą przyoblekania idei w kształt materialny. Przypisuje mu słusznie znaczenie decydujące w kształtowaniu się smaku estetycznego człowieka. „To, co wypełnia wnętrze naszych domów, kształtuje nas przez cały ciąg naszego życia; ulegamy atmosferze naszego domu znacznie więcej, niż przypuszczamy... Aby wnętrze naszego domu miało atmosferę, jakiej potrzebujemy, musi w nim panować harmonia kształtów zgodna z rytmem naszego życia — i dlatego rzetelne rękodzieło jest zawsze **rzetelną sztuką** i na równi z architektura nie potrzebuje zapożyczać treści artystycznej skądinąd".

Przechodząc do strony praktycznej zagadnienia stwierdza Homolacs, że „nasze czasy stworzyć muszą sprzęty i inne przedmioty piękne swoją szczerą wymową — sprzęty i przedmioty celowe, związane ściśle z realnym życiem człowieka pracy. Zadanie to niewątpliwie bardzo trudne, domaga się z jednej strony opieki nad rękodzielnikiem, a przede wszystkim **rozbudowy racjonalnego szkolnictwa rękodzielniczego,** z drugiej strony **rozwoju szkół artystycznych** poświęconych wyłącznie sztuce rzemiosła. Takie wyższe uczelnie, które określamy zazwyczaj, jako szkoły przemysłu artystycznego, domagają się w obecnej chwili specjalnego poparcia czynników miarodajnych i społeczeństwa, ponieważ w nich właśnie wypracowywać się muszą wytyczne dla twórczości odpowiadającej duchowi nowej kultury. W nich też kształcić się będą projektanci, zdolni do opracowywania form estetycznych i zgodnych z podstawowymi założeniami rękodzieła, oraz artystyczni kierownicy warsztatów, i w nich wreszcie wyrabiać się będą ludzie, którzy jako nauczyciele szkół zawodowych wychowywać będą pod względem artystycznym przyszłego rękodzielnika, świadomego swojej wielkiej roli — rękodzielnika twórczego".

Sprawa szkół artystycznych, które spełniałyby tę rolę, jaką im Homolacs wyznaczył, wydaje się bardzo ważna. Winny to być szkoły bezpłatne, wyposażone i inwestowane należycie. Trzeba wziąć pod uwagę, że rękodzielnictwo, do którego lud polski — zwłaszcza na wsi — ma szczególny pociąg, było od lat zaniedbywane i z tego względu stworzenie kryteriów i wytycznych dla tego rodzaju sztuki byłoby pierwszym krokiem do celowego użycia samorodnego i wprost spontanicznego artyzmu chłopów. Szkoły rękodzielnicze i artystyczne spełniłyby pierwszy postulat uspołecznienia sztuki — uspołecznienia **przez wciągnięcie do jej tworzenia szerokich mas.**

Pozostaje sprawa uspołecznienia sztuki **ze względu na konsumenta.** Nie można liczyć na wielki odbiór przedmiotów sztuki przez jednostki. Dziedzic na wsi a bankier, przemysłowiec, handlowiec i wyższy, dobrze płatny urzędnik w mieście — są już przeżytkami. I tu jest wielka rola **zbiorowości,** która zastąpić może finansistów.

Konrad Winkler we wspomnianym wyżej artykule poleca objęcie mecenatu sztuki Związkom Zawodowym.

„W całej Polsce ilość członków zarejestrowanych w różnych związkach zawodowych wynosi dziś przeszło milion osób, a doliczając do tego Samopomoc Chłopską — przeszło trzy miliony. Jeśli każdy robotnik, chłop, inteligent pracujący wyrzeknie się raz na miesiąc **połowy papierosa,** czyli jednego złotego, powstanie fundusz przeszło trzydzieści milionów rocznie, co wystarcza na zbudowanie **materialnego zaplecza** dla polskiej sztuki. Projekt ów jest więc całkiem prosty: należało tylko wyczuć **niezmierzoną potęgę mas"...**

To „materialne zaplecze" polskiej sztuki należy rozumieć dwojako: kapitał uzyskany z opodatkowania ludzi pracy może być użyty na 1) organizację i utrzymanie szkół rękodzielnictwa i artystycznych, i 2) na odkupywanie dzieł sztuki dla świetlic robotniczych i wiejskich, domów kultury, domów i uniwersytetów ludowych itd. Obrazowe przedstawienie podatku w postaci połowy papierosa miesięcznie nie wydaje się jednak dość przekonywujące. Trzydzieści milionów złotych rocznie nie stworzy „materialnego zaplecza" nie tylko dla sztuk plastycznych, ale nawet dla jednej ich gałęzi — rękodzielnictwa. Sprawa technicznego przeprowadzenia tej akcji jest jednak drugorzędna. Sama idea objęcia mecenatu sztuki przez czynnik społeczny stwarza drogę wyjścia z sytuacji bardzo prostą w zasadzie — a jednocześnie drogę jedyną.

*Zygmunt Stolarski*

# „Twórczość"

Nowy (styczniowy) numer „Twórczości" świadczy o pomyślnym rozwoju tego cennego pisma. Pisaliśmy kiedyś o przewadze materiału artystycznego nad teoretycznym i krytycznym na łamach „Twórczości". W numerze styczniowym przewagi tej już nie ma, dzięki czemu pismo staje się bardziej wszechstronne; z antologii bieżącej twórczości literackiej przekształca się ono na centralny organ sfer artystycznych i kulturalnych.

Część artystyczna numeru wypełnia materiał bardzo różnorodny: dwa fragmenty dramatyczne (Marii Dąbrowskiej „Stanisław i Bogumił" i Anny Świrszczyńskiej „Śmierć Orfeusza"), dialog Jana Parandowskiego „Spotkanie wśród gwiazd" (fikcyjna rozmowa Cezara z Cyceronem), nowela historyczna Jarosława Iwaszkiewicza „Bitwa na równinie Sedgemoor", poematy Tadeusza Gaycego i Romana Bratnego oraz przekłady z Teokryta (tłumaczenie Artura Sandauera) i Platona (epigramaty w tłumaczeniu Witolda Klingera). Mamy więc bardzo bogaty wachlarz tematów, form i ideologii.

Bardzo ważną pozycją numeru jest studium Konstantego Grzybowskiego. „W klimacie hitleryzmu". Założenie artykułu brzmi: „Trzeba pokazać, że hitleryzm nie zrodził się w głowach kilku maniaków i obłąkańców, ale że ma źródło głęboko w historii i nauce niemieckiej". Tezę tę przeprowadza i udowadnia autor w sposób nader poważny i przekonywujący.

**Artykuł Jana G. Pawlikowskiego „Przekleństwo zakłamania"** wykazuje na przykładzie Podhala niebezpieczeństwo źle rozumianego regionalizmu i snobistyczno - naiwnego kultu ludowości. Z zagadnieniami poruszonymi w tym artykule wypadnie nam zająć się osobno. Studium Pawlikowskiego uzupełnia szkic Stefana Flukowskiego „Duchowie" o artyście ludowym z Podhala Andrzeju Knapczyku.

„Twórczośćć" przypomina w ostatnim numerze nieodżałowanej pamięci Karola Irzykowskiego drukując jego studium „Literatura od wewnątrz". Dobrze stało się, że przerwane zostało nareszcie milczenie, które dotychczas skrywało postać i dzieło Irzykowskiego. Trzeba jednak, aby inicjatywa „Twórczości" została podjęta i rozwinięta; wpływ pisarza tej miary jak Irzykowski będzie niewątpliwie nader cenny dla młodego pokolenia literackiego, a więc ono o autorze „Czynu i słowa" i „Walki o treść" stanowczo za mało. Bardzo dużo miejsca w numerze poświęcono sztukom plastycznym. (O zamieszczonych w tym dziale artykułach Homolacsa i Winklera piszemy szerzej powyżej.

Uzupełniają numer recenzje, wśród których na specjalną uwagę zasługują prace Artura Sandauera o tomie Zbigniewa Bieńkowskiego „Sprawa wyobraźni" i Mieczysława Grada o „Oberku świętokrzyskim" Ozgi-Michalskiego.

**Sl.**

EDMUND CAŁKA

## Cisza

**Z białych pagórków rozścielają niebo anieli**
**i w gałęzie sypkiego naprószyli błękitu.**
**I jest jakby w jakimś tajemnym kościele**
**w cichym półmroku przed świtem.**

**Ziemia odeszła w niebo ścieżynką za lasem.**
**Z góry wiatr upadł i skonał w rzeczysku.**
**Przebiegnie obok biały aniołek czasem**
**i niebo zawiesi na drzewie blisko.**

## W domu

**Kominy w górę szły obłoki pędzlami dymu malować,**
**niebo chwiało się w wietrze połyskiem stalowym,**
**a od chmur kolumny cieni jak żagle odrywały się blisko**
**i opadały w podarte cegły na umarłych zwaliskach.**

**Było cicho i szaro. Obiegły cienie południe zimowe,**
**zamigotał w oknach blask, bagnetem błysnął płowym.**
**Gdzieś syreny jak klingi aksamitny przecinały półmrok:**
**nikną już w sinych dalach, aż w zaułkach umrą.**

**Było w domu chłodno, płakały dzieci głodne i bose,**
**gdy ojciec kaszlący smutne godziny w oczach nosił.**
**Na ścianach lodu jarzyły się świece migotliwym blaskiem**
**za oknami w wieczory zimne gwiazdy spadały w trzasku.**

# Z prozy węgierskiej

*GEZA GARDONYI: „Chłopska dziewczyna" — opowiadanie, przetłumaczył z węgierskiego Tadeusz Fangrat, nakład księgarni Wł. Wilaka w Poznaniu. Stronic 30 i 2 nieliczb.*

Kataklizm dziejowy z 1939 roku rozrzucił żywioł polski na wszystkie strony świata i — rzec można bez przesady — w każde miejsce ziemi. Spora gromada pisarzy polskich znalazła się również na Węgrzech. Konieczność dłuższego siedzenia na miejscu pod przymusem spowodowała siłą rzeczy nawiązanie bliższego kontaktu z piśmiennictwem węgierskim, którego znajomość w naszych sferach pisarskich, była raczej niewielka.

Tadeusz Fangrat, internowany na Węgrzech przez lat kilka, przyswoił literaturze naszej cały szereg pozycji z węgierskiego. Dłuższe opowiadanie „Chłopska dziewczyna" Gézy Gardonyi'ego, wybitnego prozaika węgierskiego, współczesnego mniej więcej naszemu Żeromskiemu (1863 – 1922), – przedstawia nam życie wsi węgierskiej sprzed lat kilku dziesiątków. Fabuła erotyczna opowiadania jest raczej ograna: miłość dwojga ludzi z różnych środowisk i o różnych osobistych ambicjach życiowych. Jak u Bojera w „Ostatnich wikingach", u Weyssenhoffa w „Sobolu i pannie" i tylu, tylu innych.

Podejście jednak do pewnych zjawisk literackich jest interesujące. Autor powiązał zdolność relatywnego widzenia rzeczy człowieka dojrzałego z naiwną, żywiołową zmysłowością dwudziestolatka w sposób niezwykle kunsztowny. Sceptycyzm lat czterdziestu gasi wybuchowość młodości i nadaje całemu opowiadaniu barwę pogodnej ironii, która w sposób umiejętny kryje podziemny nurt sentymentalizmu.

Tło, na którym rozgrywa się akcja utworu, stanowi zespół zjawisk prawie egzotycznych, wśród których dominuje surowa obyczajowość chłopa węgierskiego. Ojciec tropiący po nocy z toporem w garści wykształconego kochanka swojej córki jest narysowany bardzo przekonywująco i malowniczo.

Język przekładu bez zarzutu, szata zewnętrzna nie powstydziłaby się i przedwojennych stosunków.

**T. G.**

## Mieczysław Grad
### o „Oberku Świętokrzyskim"

Czytającemu w „Kuźnicy" czy słuchającemu w radio recenzji R. Matuszewskiego o „Oberku Świętokrzyskim" Józefa Ozgi-Michalskiego — recenzja o tym samym zbiorku pióra Mieczysława Grada w styczniowym numerze „Twórczości" wydaje się nadzwyczaj obiektywną, głęboką i rzetelną.

Grad widzi rzeczywiście w „Oberku" obiekt interesujący dla krytyka i recenzja jego nie sprawia wrażenia pisanej z urzędu i jedynie dlatego, że należy okleić świeżo wyszłą książkę jakąś etykietą.

Tomik Michalskiego uważa Grad za doniosłe wydarzenie, za tomik, który wprowadza w poezję chłopski żywioł i temperament.

Tematykę Michalskiego nazywa „podwójnie chłopską". Tłumaczy: „Można na temat ludowy napisać wiersz, który z ludem nie będzie miał nic wspólnego poza tematem, A można po chłopsku spojrzeć na świat nawet nieludowy. Wiersze Ozgi-Michalskiego pozostają w kręgu ludowej tematyki „w głębszym rozumieniu tego słowa". Epickie tendencje poety Grad uważa za wynik pewnej „presji społecznej" i dodaje: „Oberek Świętokrzyski" świadczy jednak, że owa presja sprzyja rzetelnej sztuce". „Obecność elementów gwarowych" w wierszu Michalskiego, szczególnie w partiach humorystycznych „jest ważnym czynnikiem artyzmu". Grad wskazuje jednak poecie na niebezpieczeństwa, wynikające z niedbałego posługiwania się gwarą.

Analizując słownictwo i styl Ozgi, krytyk odnajduje w metodzie pisarskiej poety pokrewieństwo z Janem Kasprowiczem. Odznaczający się ornamentacyjną powściągliwością wiersz „Grusze" przypomina mu klimat bliski „Księdze Ubogich".

Charakterystyczne są te słowa w recenzji Grada: „Oberek Świętokrzyski jest doskonałą okazją do myślenia. Kto nie jest pozbawiony wyobraźni, ten dostrzeże wspaniałe możliwości rozwojowe dla literatury ludowej. Czerpiąc z olbrzymiego a niewyzyskanego repertuaru chłopskiego życia uczuciowo - wyobrażeniowego można będzie znakomicie wzbogacić skalę artystycznych doznań..."

Najpoważniejszym zarzutem, jaki Grad stawia Michalskiemu w tej pozatem pochlebnej recenzji, jest stwierdzenie, że poeta nie mówi nic o współczesnej wsi polskiej wraz z jej obecnymi przeżyciami i przełomami.

**zb.**

# FAKTY I ZDANIA

## PRZED WYBORAMI

Społeczeństwo polskie stoi w przededniu wyborów do Sejmu Ustawodawczego. Sprawa ta dla odrodzonej, demokratycznej Polski jest niezmiernie doniosła, jeśli się zważy, że naród polski po raz pierwszy po sześcioletniej niewoli i po raz pierwszy od czasów sanacji będzie miał możność **swobodnego** wypowiedzenia się w wolnych nieskrępowanych wyborach.

Dwa z sześciu stronnictw, tworzących Rząd Jedności Narodowej, a mianowicie: P. S. L. i Stronnictwo Pracy, nie zadecydowały jeszcze o swoim przystąpieniu do wspólnego bloku wyborczego stronnictw demokratycznych. Jasną jest rzeczą, że programy polityczno - gospodarcze poszczególnych stronnictw różnią się między sobą, że ostateczne cele, ku którym dążą stronnictwa są często rozbieżne. Ale jasnem jest również i to, że dzisiejsza rzeczywistość wysuwa pewne postulaty, na które wszystkie partie się godzą i że są pewne rzeczy, które wszyscy chcieliby usunąć.

Wyrazem takiej polityki **jedności** są dotychczasowe osiągnięcia polskiej demokracji, podział ziemi obszarniczej, nacjonalizacja wielkiego przemysłu, demokratyzacja armii i państwa. Są to te osiągnięcia, które leżą po linii interesu chłopa, jak i robotnika, jak inteligenta, o które walczyło i na które godzą się zarówno PPR, jak i P. S. L. jak i S. L. Z drugiej strony łączy wszystkie partie polityczne wspólne niebezpieczeństwo ze strony reakcji, która wszelkimi sposobami stara się zniszczyć dorobek Polski powojennej i narzucić jej z powrotem jarzmo obszarnika i kapitału.

W tej sytuacji pójście do wyborów w jednym bloku wyborczym wszystkich sześciu polskich stronictw wydaje nam się koniecznością i nakazem chwili. Wspólny blok wyborczy oznaczać będzie konsolidację obozu demokratycznego i ostateczne odrzucenie reakcji po za nawias życia narodowego w Polsce.

Założenie społeczne Bloku Wyborczego — mówią deklaracje stronnictw, popierających jedność — **„stwarzała pełne warunki poparcia bloku przez najszersze rzesze narodu" „gwarantują poszanowanie przekonań politycznych obywateli, jak też ich uczuć i wierzeń religijnych".**

Wspólny blok wyborczy oznacza nie tylko potwierdzenie dotychczasowych osiągnięć politycznych i gospodarczych przez **całe społeczeństwo**, ale stwarza pełne możliwości rozwojowe na przyszłość.

t. p.

## ROK KOŚCIUSZKOWSKI

Dnia 12 lutego bieżącego roku mija 200-na rocznica urodzin wielkiego demokraty polskiego — Tadeusza Kościuszki. O popularności i uznaniu, jakim cieszy się imię Kościuszki na całym świecie, niech świadczy fakt, że uroczystości rocznicowe odbywają się jednocześnie w Polsce, Związku Radzieckim, Ameryce, Szwajcarii i Francji. Z okazji rocznicy urodzin Kościuszki Biały Dom wydał oświadczenie, w którym czytamy:

„Naród amerykański nigdy nie zapomni wybitnej roli, jaką odegrał on w pierwszym okresie historii tego państwa, nie zapomni nigdy wielkich zasług, tak wspaniałomyślnie położonych dla sprawy amerykańskiej niepodległości, a które przyczyniły się w tak wielkiej mierze do ostatecznego zwycięstwa.

Kościuszko pozostanie na zawsze w pamięci narodu amerykańskiego, narodu polskiego i innych narodów za swoje niezłomne oddanie ideałom niepodległości, wolności i sprawiedliwości dla całej ludzkości.

Osiągnięciu tych ideałów Kościuszko w ciągu całego życia poświęcał swą energię i uzdolnienie. Jego bohaterskie wysiłki dla sprawy wolności stały się natchnieniem dla wszystkich narodów.

Byłoby wysoce wskazane, aby w dniu 12 lutego naród amerykański związany z polskim węzłami dziejowymi, łącznie z nim uczcił pamięć jednego z najdzielniejszych i najmężniejszych synów Polski, a zarazem jednego z największych bohaterów Ameryki".

Godną inaugurację Roku Kościuszkowskiego w Polsce był obchód w Krakowie, dnia 12. II. na miejscu przysięgi Kościuszki na Rynku Głównym. W uroczystościach brali udział przedstawiciele Rządu i Marszałek Wojska Polskiego. Równocześnie w całym kraju naród akademiami czcił pamięć tego bohatera narodowego.

Postać „wodza w sukmanie" jest szczególnie bliska wsi polskiej, ponieważ Kościuszko był pierwszym w Polsce politykiem który walkę o wolność ojczyzny związał nierozerwalnie z walką o poprawę doli mas chłopskich.

Redakcja tyg. „Wieś" zamierza uczcić pamięć Tadeusza Kościuszki wydaniem specjalnego numeru kościuszkowskiego w rocznicę wydania Uniwersału Połanieckiego.

zs.

## OBUDOWA WSI

„Dziennik Łódzki" z dnia 9 lutego podaje następującą wiadomość:

„Na zlecenie Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów minister Odbudowy powołał specjalnego Komisarza dla odbudowy wsi, którym został prof. inż. Fr. Piaścik, zastępca zaś jego — inż. Przemysław Szczekowski.

Postanowiono zmobilizować wszystkie będące do dyspozycji środki do odbudowy zniszczonych terenów.

W ramach tej akcji ma być odbudowanych 50 tys. gospodarstw, z których 30 tys. będzie mogło korzystać z kredytu gotówkowego, drzewnego i z kredytu w innych materiałach budowlanych, a 20 tys. tylko z kredytu w drewnie.

Gospodarstwa odbudowujące się z materiałów ogniotrwałych będą korzystać z wyższych norm pomocy w materiałach i kredycie.

Organizacja wyrębu, zwózki drzewa i przydział według ustalonych norm zajmować się będzie Samopomoc Chłopska".

Według sprawozdania posła Jana Dąb-Kocioła na ostatnim Kongresie Stronnictwa Ludowego odbudowa wsi w pierwszych miesiącach niepodległości nie była prowadzona w większym rozmiarze. Akcja odbudowy ograniczała się do „budowy baraków na obszarze wielkich zniszczeń pasa między Narwią a Wisłą", oraz do „udzielania pożyczek budowlanych na odbudowę indywidualnych gospodarstw i w nieznacznym zakresie do subsydiowania budownictwa".

Rok 1946 ma przynieść w tej dziedzinie gruntowną zmianę. Powołanie specjalnego Komisarza dla spraw odbudowy wsi świadczy o tym, że Rząd docenia pilność i ważność tych prac. Wieś czeka na odbudowę. Tysiące, dziesiątki tysięcy gospodarstw chłopskich zniszczonych, dziesiątki tysięcy chłopów bez dachu nad głową, czeka na wielkie dzieło odbudowy wsi i Polski.

tp.

## W POWODZI SŁÓW

### Proces w Norymberdze trwa.

Od czasu do czasu uwagę opinii publicznej zajmie jakiś błyskotliwy wypadek, dziejący się w innym miejscu światowej areny, ale potem znów Norymberga wraca. Proces norymberski jest permanentnym odkrywaniem zarzewia okropności tlących w posępnych zakamarkach teutońskiej duszy.

Tu na procesie wszystko będzie ujawnione, opisane, sfotografowane, podane w tysiącach aktów, reportaży, felietonów, druków i dokumentów. Wiemy, jak wygląda Papen, co Goering je, o czym myśli Hess, jak chodzi Keitel, co mówi Ribbentrop. Oku sprawozdawcy i soczewce aparatu nie ujdzie ani szew spodni Baldura von Schirach, ani cień zarostu Hansa Franka.

Po co to wszystko?

Światu musza być ujawnione wszystkie sprężyny działania i ścieżki, którymi chodziła niszczycielska myśl hitlerowskich potentatów: od Nantes do Stalingradu, od Barki do Narviku. Wszędzie działała zimna, twarda zasada niszczenia na rozkaz i z własnej inicjtywy.

Jakże to dziwne podejście! Tu tracono niewinnych ludzi milionami — cicho, najciszej: zacierano ślady, niszczono dokumenty, likwidowano świadków. Tu sąd nad kilkunastoma najwinniejszymi trwa miesiące i będzie jeszcze miesiące trwał. Za lat kilkadziesiąt czy kilkaset jakiś kauzyperda, szperacz osobliwości czy mól archiwalny wywącha z nich to czy owo. To są korzyści strony papierowej procesu. A rzeczowo? Okupacja niemiecka była koszmarem. Niósł go z sobą każdy Niemiec. Głęboko ukryta w człowieku cierpiącym myśl zemsty poddawała straszny odwet. Ale właściwie proces ten rozładuje ową podświadomą u nas legendę o tym strasznym odwecie i utopi ją w powodzi mów i słów. Uczyni z winnych zbrodniarzy ofiary wykonywanych rozkazów.

tg

## ZRYWY I KOSZTA

W początkach lutego minęło dwa lata od słynnego zlikwidowania niemieckiego kata Warszawy Kutschery. Taki ustosunkowany w niemieckim świecie władz opryszek, ozdobiony w dystynkcje stopni i zasług oraz rezedowego koloru mundur, germański zboczeniec. Pilnowały go buta, akuratność, systematyczność i przezorność. Tworzyły wokół jego osoby szczelny płot bez żadnej zdawałoby się szczelinki, przez którą mogłaby przeniknąć lufa, żołnierza armii podziemnej, z niezawodnym pociskiem.

I oto strzelają do niego w biały dzień pędzącego w ubezpieczonym konwoju przez ulice Warszawy. Kutschera ginie, on, który miał twardą pruską rękę „trzymać za mordę" całą ludność zdeptanej stolicy. W dzień, na ulicy, między ubezpieczeniem własnym wyposażonym w broń maszynową. I jeszcze nieprawdopodobniejsze: tylko dwóch ludzi zostaje rannych. Dwóch bojowców. Ci się dostają w ręce Niemców, ale pilna opieka towarzyszów broni tej samej jeszcze nocy uwalnia złapanych ze szpitala. Śmierć ich odbiera Niemcom możliwość wywarcia słodkiej zemsty: umierają z ran na rękach kolegów. Dwóch drugich osaczonych w ucieczce na moście Kierbedzia skacze w Wisłę : tu ginie w falach rzeki. Z dziewięciu ludzi biorących udział w zamachu czterech staje się ofiarą: 44%! Przerażający procent! On był właśnie realnym wskaźnikiem strat walczących żołnierzy z armii podziemnej.

tg

## SPRZECZNOŚCI

Gdyby ktoś chciał znaleźć jakieś lapidarne określenie dla atmosfery życia naszego globu po wojnie — jakąkolwiek by nie wziął dziedzinę — to najwłaściwsze będzie: sprzeczność. Pomysły się znoszą. Propozycje — wykluczają. Zdarzenia — rozmijają. Działalności — krzyżują. Groźby są prośbami. Prośby zaś wyglądają na groźby.

Wokół obrad delegatów Organizacji Narodów Zjednoczonych w Londynie uczynił się całkowicie zrozumiały szum. Umęczone masakrą narody chcą się poświęcić całkowicie odbudowie wewnętrznej, więc dążą do pokoju. Udręczona sześcioletnim koszmarem wojny (Made in Germany) ludzkość chce mieć spokój.

Punktem szczytowym tej sytuacji jest — jak niedawno pisma doniosły — amerykański pomysł o charakterze zdecydowanie teatralnym. Miał się odbyć pokaz niszczycielskiej działalności bomby atomowej na Pacyfiku wobec widzów, złożonych z delegatów państw należących do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Obiektem zniszczenia miały być okręty niemieckiej floty wojennej.

„Pokazy na świeżym powietrzu" — i miliony ludzi, wyczekujące upragnionego spokoju: tarcia polityczne — i ciężka sytuacja gospodarcza świata. Czy to nie są sprzeczności warte więcej, niż satyry?

Trafiają się wśród ludzi miłośnicy teatru, ale widać, że i społeczeństwa nie są pozbawione tej słabości. Ameryka góruje w pomysłach. Pobiła i tym razem rekord widowiskowy.

tg

## KONKURS NA SZTUKĘ DLA ŚWIETLIC GÓRNICZYCH.

Związek Zawodowy Literatów Polskich — Oddział Śląski w Katowicach w porozumieniu z Biurem Informacji i Propagandy Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego ogłasza konkurs na jednoaktowy utwór sceniczny dla świetlic górniczych.

Tematyka utworu dowolna, pierwszeństwo jednak będą miały utwory, związane treścią z życiem i pracą górnika.

Utwory są przeznaczone dla amatorskich zespołów dramatycznych. Przy opracowaniu należy uwzględnić skromne stosunkowo możliwości scen świetlicowych.

Prace nadsyłać należy do dnia 15.IV.1946 r. do Związku Zawodowego Literatów Polskich —Oddział Śląski w Katowicach, ul. 3-go Maja 36a. Praca winna być opatrzona godłem. Dołączyć należy w dobrze zaklejonej kopercie imię, nazwisko oraz dokładny adres autora.

W skład sądu konkursowego wchodzą:

Dr. Jerzy Koller,
Red. Wilhelm Szewczyk,
Zdzisław Pyzik z ramienia Zw. Zaw. Literatów, oraz redaktor czasopisma „Górnik" — Mieczysław Markowski.

Za najlepsze prace Sąd Konkursowy przyzna nagrody, ofiarowane przez Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego:

1-sza 15.000 zł.
2-ga 10.000 zł.
3-cia 5.000 zł.

Sąd Konkursowy zastrzega sobie prawo innego rozdziału nagród, przyznanie tylko części nagród.

Nagrodzone sztuki zostaną zakupione przez C.Z.P.W. do wyłącznego użytku świetlic górniczych.

CZPW. zastrzega sobie prawo zakupu innych, nienagrodzonych prac.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w dniu 1 maja 1946 r. w katowickiej prasie codziennej oraz w czasopismach „„Odra" i „Górnik".

### Nr 6 (34) „Wsi" zawierał:

**Kazimierz Budzyk** — O chłopską szkołę; **Jan Bolesław Ożóg** — Pachnie kwiat lipy. Odkupienie kraju widzialnego; **Zygmunt Sierp** — kolumna wierszy: Opowieści dzwonnicy, Motyle, Smutek patrzenia, Smak jesieni, Węzły, Przygoda w dzień biały; **Stefan Lichański** — Ku realizmowi i humanizmowi; **Józef Wyszomirski** — Teatr ludowy w Lingen; **Jan Aleksander Król** — Stara wieś; **Józef Bieniek** — Inteligencja chłopska; **Czesław Schabowski** — Wielki połów; **J. A. F.** — Poeta rabacji chłopskiej; **Józef Gurgul** — Wieś jako odbiorca literatury; **J. A. Frasik** — Debiut Jana Kocznura; oraz noty i ogłoszenia. 4 ilustracje, 8 stron.

## KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADESŁANE

**Stanisław Pigoń** — Z KOMBORNI W ŚWIAT — wspomnienia młodości z przedmową Franciszka Bujaka. Kraków 1946, Spółdzielnia Wydawnicza „Wieś", skład główny w Księgarni Ossolineum, stronic VIII+274+6 nlb. Biblioteka dziejów i Kultury Wsi, tom 10.

**Dr Jerzy Sawicki i dr Bolesław Walawski** — ZBIÓR PRZEPISÓW SPECJALNYCH PRZECIWKO ZBRODNIARZOM HITLEROWSKIM I ZDRAJCOM NARODU Z KOMENTARZEM" 1945. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

NOWA SZKOŁA, Nr. 8, grudzień. Warszawa — Łódź. 1945.

TWÓRCZOŚĆ, miesięcznik literacko-krytyczny, styczeń 1946, zeszyt I, rok II, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

AFISZ STAREGO TEATRU, miesięcznik Nr. 3, Kraków 1946. Wydawca: Dyrekcja Starego Teatru.

ARKONA, miesięcznik poświęcony kulturze i sztuce, Nr. 4, Bydgoszcz — luty, rok 1946.

TYGODNIK POWSZECHNY, katolickie pismo społeczno-kulturalne, rok II, Kraków, niedziela 10 lutego 1946, Nr. 6 (47).

ODRODZENIE, tygodnik, rok III, Kraków, dnia 10 lutego 1946 r. Nr. 6 (63).

ODRA, pismo literacko - społeczne, rok II, Katowice — Wrocław, 10 lutego 1946 r. Nr. 3 (14).

KULTURA, pismo poświęcone kulturze radzieckiej, rok II, Kraków, 1 lutego 1946 r. Nr. 2.

WALKA MŁODYCH, tygodnik, rok IV, Warszawa, 12 lutego 1946 r. Nr. 6 (75).

## DO AUTORÓW I KORESPONDENTÓW

Redakcja „Wieś" zwraca się do wszystkich korespondentów i autorów, aby nadsyłali rękopisy **czytelne** i pisane **tylko po jednej stronie arkusza papieru. O ile to jest możliwe**, należy pisać na maszynie.


## Prenumerata „Wsi" wynosi:

**w Łodzi i na prowincji zł 25 miesięcznie; zł 75 kwartalnie; zł 150 półrocznie.**

**Prenumeratę przyjmują:**

**W Łodzi:**

**Redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-96;**
**Dział prenumerat „Czytelnika" ul. Piotrkowska 62, tel. 180-74.**
**Księgarnia „Czytelnika" ul. Piotrkowska 96, tel. 126-04.**
**Księgarnia „Czytelnika" ul. Piotrkowska 147, tel. 126-65.**

**Na prowincji:**

**Wszystkie agencje pocztowe na konto PKO Oddz. w Łodzi Nr 815 – Kolportaż „Czytelnika", z zaznaczeniem: na „Wieś"**

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętak Stanisław.
KOMITET TERENOWY: Frasik Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław, Kubisz Paweł.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 1-00-98 Redakcja rękopisów nie zwraca. Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik".

CENY OGŁOSZEŃ: kolumna zł 60.000 1/2 kolumny zł 30.000, 1/4 kolumny 15.000, 1/8 kolumny 8.000 zł, 1/16 kolumny zł 5.000. Drobne ogłoszenia 25 zł. za 1 mm na 1 szpaltę. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tygodn. „Wieś" Łódź, Piotrkowska 96, I p., telefon 1-00-98.

D—02910 Drukarnia Nr 4, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Łódź, Żwirki 2